

Redakcja

Magazynu Kulturalno – Studenckiego
MULTIS MULTUM
30-150 Kraków, ul. Armii Krajowej 4
multis@wszib.edu.pl
www.multis.wszib.edu.pl

Redaktor Naczelny

Bartosz Banduła
bandula@wszib.edu.pl

Z-ca Redaktor Naczelnego

Adrian Jaszczyk
ajaszczyk@wszib.edu.pl

Sekretarz redakcji

Barbara Szulkowska

Redaktorzy Działów

Student

Anna Bernacka

Biznes

Piotr Olszewski

Prawdy i mity

Bartosz Banduła

Trochę kultury

Barbara Szulkowska

Sport

Daniel Płatek

Krzyżówka

Paweł Frankiewicz

Dziennikarze

Jerzy Sulima, Kamila Pietnica,
Tomasz Rojek, Rafał Bednarski,
Anna Bernacka, Teresa Foszcz
Barbara Galimska, Agnieszka Wicińska,
Izabela Szewczyk, Jacek Marszałik,
Michał Fita, Ilona Klocek, Mikołaj Witkowski,
Marcin Szary

Grafika i projekt okładki

Krzysztof Cywicki

Grafika

Krzysztof Krzyściń

Fotografie

Bartosz Banduła

Rysunki

Ilona Klocek

Konsultacja merytoryczna

Aleksandra Smyczyńska

Skład i łamanie

Piotr Góral

Druk i oprawa

Drukarnia PRINT
print@hot.pl



Naprawdę warto

Zniechęcenie, przygnębienie i smutek – oto skutki aury, jaką mamy za oknem od ponad miesiąca. Dokładając do tego syndrom „zimowej sesji egzaminacyjnej” można by rzec, że rzeczywistość nie jest teraz zbyt ciekawa. Jednak nic bardziej błędnego, bo właśnie wydarzenia ostatnich dni i tygodni pokazały, że dużo zależy od nas samych to właśnie my w dużym stopniu kreujemy rzeczywistość, która nas otacza.

Najważniejsza jest wiara, że to, co robimy ma sens, bo każdy z nas potrzebuje motywacji do działania. W pracy czy na uczelni satysfakcja z wykonywanej działalności daje nam poczucie, że naprawdę jesteśmy potrzebni. Tyle jest możliwości i tyle miejsc, gdzie swoją aktywnością i zaangażowaniem możemy pomóc innym i samym sobie. Przykłady można mnożyć w nieskończoność, ale warto wymienić te, które są na wyciągnięcie ręki dla każdego studenta WSZiB.

Działalność w „Aktywnym Samorządzie” to organizowanie studenckiego życia na Uczelni i poza nią. To forma spędzania wolnego czasu, doskonałej zabawy, a jednocześnie okazja do pomocy innym. Akcje takie jak „Pacynka”, czy tradycyjna już organizacja sztabu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy to jedynie mały fragment tego, co oferuje „AS”.

Dla informatyków i marketingowców polem do popisu może być praktyka w „Inkubatorze Przedsiębiorczości Aktywni.pl sp. z o.o.” Praca tu to możliwość samorealizacji, podnoszenia własnych kwalifikacji oraz zdobycia niezbędnego doświadczenia zawodowego. Adeptci sztuki dziennikarskiej mogą zaś rozpocząć praktykę w naszej redakcji.

Każda tego typu działalność, połączona z dobrymi wynikami w nauce, wymierne przynosi korzyści. Władze naszej Uczelni nieustannie promują tych, którzy są aktywni, a swoją pracą przyczyniają się do rozwoju własnego, jak i środowiska akademickiego. Przykładem takiego działania są przyznane Stypendia JM Rektora oraz nagrody gwiazdkowe, wręczane podczas corocznego spotkania ze studentami i pracownikami uczelni.

Szczególną formą docenienia pracy dziennikarzy naszej redakcji są trzy stypendia otrzymane od Ministra Edukacji i Sportu. Wyróżnienie to jest o tyle dla nas istotne, że potwierdza sens naszej pracy i jest świadectwem tego, iż to, co tworzymy wspólnie z Aktywnym Samorządem, jest dostrzegane także na zewnątrz.

W lutowym numerze naszego periodyku, oprócz stałych pozycji, takich jak Student, Sport czy Kultura, przedstawimy Wam sprawozdania z działalności Samorządu oraz Inkubatora Przedsiębiorczości. Będziemy starali się udowodnić, że naprawdę warto działać, bo efekty takiego działania są wymierne. Poświęcając jedynie odrobinę wysiłku i własnego czasu, każdy z nas jest w stanie osiągnąć sukces już teraz, podczas studiów. Sytuacja taka na pewno zapoczątkuje w przyszłości – gdy będziemy starać się o pracę lub gdy zdecydujemy się sami prowadzić działalność gospodarczą. Nic nie zastąpi doświadczenia połączonego z wiedzą. Warto o tym pamiętać!

Pozdrawiam Serdecznie

Redaktor Naczelny

Bartosz Banduła

Moim zdaniem

O tradycji przy okazji walentynek 5

Echo

Aktywny Samorząd 6

Who is who 8

Student

Zapomnianie miejsca 9

Z rowerem dookoła świata 11

Prawdy i mity

Znieczulenie ogólne 15

High Tech

16

Kultura

Książka, płyta, film 20

Sport

Ludzie bez honoru 30

Auto - Test

32

MOIM ZDANIEM

O tradycji przy okazji walentynek

W wypełnionej po brzegi sali krakowskiego teatru Bagatela Tewie Mleczarz przy aplauzie widzów śpiewa w Skrzyppku na dachu o potędze tradycji tymczasem przekazywanie z pokolenia w pokolenie obyczajów, przekonań i wierzeń jest współcześnie co najmniej utrudnione, a niekiedy nawet w zaniku.

W ostatnim czasie zmieniło się tak wiele, że nawet zimą nie ma śniegu i mrozu, za to padają ulewne deszcze albo świeci ciepłe słońce. W grudniu nie odwiedza nas już stary, poczciwy święty Mikołaj z pastorałem, rozdający podarki dzieciom. Niepostrzeżenie postać z bizantyjskich ikon przeistoczyła się w jowialnego czerwonoносого krasnala, pokrzykującego „Ho-ho-ho!” i zachęcającego do przedświątecznego szaleństwa zakupów. Zasluga to koncernu Coca-Cola i jego speców od marketingu, którzy takiego pop-Mikołaja wykreowali, a zarazem znak przemiany kulturowej, dokonującej się na naszych oczach. Dla znacznej grupy osób religijny wymiar świąt Bożego Narodzenia stracił znaczenie na rzecz wartości rodzinnych, a rodzina - w szczególności rodzina z dziećmi - jak najbardziej może konsolidować się wokół postaci kojarzonego z dobrobytem, podarkami, przyjemnością dawania i brania Mikołaja.

Niektórzy narzekają na upadek sacrum i zastąpienie go wartościami świeckimi, to jednak dokonało się przecież już dawniej. Uważam, że obecnie zmiana polega na czym innym. Mianowicie na zastępowaniu wspomnianych wartości rodzinnych, a także wzajemnego poszanowania, szacunku dla kolejnych pokoleń - tak starszych, jak młodszych - pozorowanymi kontaktami międzyludzkimi. Mówimy dziś o supremacji mediów w świecie, o powszechnej mediatyzacji. Można to rozumieć i tak, że nawet kontakty między najbliższymi zostały współcześnie za pośredniczone.

Często bywa, że święta są okazją nie tyle do spotkania w rodzinnym gronie, ile do prezentacji najlepszej zastawy stołowej, pofolgowania żołądkom aż po granice obżarstwa i do oszołomienia prezentami. Pomiędzy członków rodziny wkradają się przedmioty, bo przecież najpierw można zaspokajać potrzeby konsumpcyjne relaksującymi zakupami, relaksującymi tym bardziej, że czynionymi świadomością, że zakupione przedmioty ofiarujemy w prezencie swoim najbliższemu, a to zawsze budzi w człowieku miłe poczucie własnej hojności i dobroci. Później można za pomocą prezentów wyrazić swoje uczucia do najbliższych, a nawet zbadać na podstawie reakcji obdarowanych ich stosunek do nas. I tak dalej. Tym sposobem okazuje się, że transmisja tradycji dokonuje się już nie poprzez i dzięki ludziom, ale przez przedmioty, mówiąc metaforycznie: nie poprzez wspólne kolędowanie, lecz przez zakup CD z kolędami lub przez mimowolne przysłuchiwanie się pastorałkom wykonywanym, dajmy na to, na krakowskim Rynku w rytm dokonywanych w tym czasie zakupów.

Pozór wkrada się także w szacowne święto pamięci przodków - Zaduszki. Zazwyczaj są okazją do refleksji, zamyślenia nad nieubłaganym czasem, wspomnieniem swoich bliskich zmarłych. Są okazją do ponownego zakorzenienia się w ro-

dzinnej tradycji, przypomnieniem o pokoleniowym charakterze rodziny, co ma znaczenie o tyle, że współczesna rodzina coraz bardziej „późni się” - zamiast dziadków, rodziców, dzieci, wnuków mamy drugie żony, byłych mężów, z całym kompletem dziadków, teściów, dzieci poprzednich małżeństw.



Prof. dr hab. inż. Włodzimierz Roszczyniński

Współcześnie z Świętym Zmarłych konkuruje anglosaskie Halloween, w którym ze sfery numinosum, tajemniczej sfery życia pozagrobowego zostały tylko pozory grozy oraz zabawne, odstrasające przebrania potworów: straszą nas plastikowe kościotrupy, strzygi i wydrążone dynie. Zamiast „prawdziwego” obcowania z przodkami mamy zabawę, wzajemne straszenie się w poczuciu, że to wszystko dzieje się „na niby” - apogeuem tej symulacji jest bal maskowy. Póki co, to święto nie zostało jeszcze w Polsce wyzyskane marketingowo, sytuuje się ono jednak nie w konsumpcjonizmie nakierowanym na dobra, lecz reprezentuje trzecią fazę konsumeryzmu - konsumpcję doświadczeń i przeżyć. Zatem na „Halolin party” możemy bezpiecznie obcować z oswojoną grozą, tym bardziej, że prawdziwą śmierć wyrugowaliśmy z domów do sterylnych szpitali i specjalistycznych zakładów pogrzebowych, a w naszym świecie nie ma już nawet miejsca dla starości - wszyscy są młodzi, mają olśniewające zęby (sztuczne), za to nie mają zmarszczek (cuda kosmetyki i chirurgii plastycznej), wakacje spędzają pod palmami, nurkują i skaczą ze spadochronem, także osiemdziesięciolatki.

W karnawał konsumpcji wpisują się nadchodzące walentynki - święto jeszcze do niedawna nieobecne w Polskim kalendarzu, teraz całkowicie zadomowione! Jest ono ponownie okazją do masowego wręczania sobie prezentów, zatem intensywnie lansowane przez specjalistów od marketingu. W podobny sposób socjalistyczna propaganda pokazywała jako niezwykle to, co zwykłe - stąd świętowano onegdaj Dzień Kobiet, przeżywający dziś renesans w związku z modą na lata osiemdziesiąte. Ówczesny nieśmiertelny goździk już jednak nie wystarcza. Możemy wysłać walentynkową pocztówkę albo sms-a (mms-a), a najlepiej zadzwonić, korzystając ze specjalnej walentynkowej taryfy, a jeszcze lepiej - przy okazji walentynek zmienić telefoniczną taryfę.

Z sympatią powinniśmy się umówić na randkę, będzie więc okazja do zakupu stroju oraz do różnorodnych zabiegów kosmetyczno-upiększających. Randka może się odbyć w jednym z licznych lokali oferujących walentynkową promocję, walentynkowy wystrój, a nawet walentynkowe menu. Następnie można bę-

dzie wręczyć bombonierkę obowiązkowo w kształcie serca oraz upominki mające referować nasze wzajemne uczucia. Nie zapomnijmy o kwiatach – mogą to być nawet wracające do łask wspomniane wyżej goździki. Wieczorem można pójść do kina, najlepiej na film o miłości. Bo przecież o niej cały czas tu mowa.

Życzę Państwu, abyście w powodzi walentynkowych obiektów nie zagubili siebie i dostrzegali przede wszystkim to, co najważniejsze - siebie wzajem.

Pozdrawiam, Rektor
Włodzimierz Roszczyński



(Footnotes)

¹ Walentynki są obchodzone w Polsce od 1992 roku, kiedy manager Wydawnictwa Harlekin Nina Kowalewska z ekranu TV zachęcała przez kilka godzin do tego święta miłości, sympatii i uczuć. W 10 lat później wg OBOP już 80 % młodych ludzi i 16% emerytów było ofiarami walentynkowego szału. Na podstawie: H. Szymanderska, Polskie tradycje świąteczne, Świat Książki, Warszawa 2003, s. 340.

XIII Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy

9 stycznia 2005r. odbył się XIII Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, w którym to wzięli udział studenci naszej uczelni, już po raz drugi przyłączając się do ogólnopolskiej Akcji Jurka Owsiaaka

Sztab powstał z inicjatywy studentów, którym nie jest obojętny los chorych dzieci. To głównie z myślą o nich poświęcili swój czas, oddając się całkowicie działalności charytatywnej. Szefem sztabu już na drugi została Kamila Pietnica- Przewodnicząca Samorządu Studentów WSZiB.

Składał się on z 40 wolontariuszy, którzy w dniu Finału dzielnie kwestowali na ulicach Krakowa, nie zważając na zmęczenie i złośliwe uwagi ludzi przeciwnych Akcji Jurka Owsiaaka. Mieli również okazję zbierać pieniądze wśród kibiców klubu Wisła, podczas specjalnie zorganizowanego treningu piłkarzy.

Sztab działał w godzinach 8:00-20:00. W ciągu dnia można było oczywiście trochę odpocząć, napić się ciepłej herbaty, po czym ruszyć dalej na „podbój” Krakowa. Osoby, które pracowały w biurze, przygotowywały się do rozliczania wolontariuszy, zgodnie twierdząc, że właśnie wtedy - pod koniec dnia, jest najbardziej „gorąco”. Komisja odpowiedzialna za przeliczanie pieniędzy, w której skład, poza szefem sztabu, wchodziła Małgorzata Rzegocka, Tomasz Ulrych oraz Łukasz Kolasa, miała pełne ręce pracy. Rekordzistka kwesty zebrała ponad 1700zł, które należało skrupulatnie przeliczyć.

Nadszedł czas, aby raz jeszcze podać wynik tegorocznej Akcji na WSZiB-ie.

W ubiegłym roku udało nam się zebrać ponad 12 tys. zł. Dzisiaj wiemy już na pewno, iż rekord ten został pobity - na konto Fundacji wpłynęła kwota w wysokości 15 590,51zł.

O swoim osiągnięciu mogliśmy pochwalić się szerszemu forum - przed Krakowianami na Rynku Głównym.

Podczas przerw koncertowych na scenie zebrały się wszystkie sztaby krakowskie, w tym i nasz. Mieliśmy również swoje 5 minut podczas łączenia się Jurka Owsiaaka ze sztabami z całej Polski.

Dzień był pełen wrażeń, które nigdy nie zostaną nam odebrane, mamy nadzieję, iż efekty naszej działalności przyczynią się do zakupu większej ilości sprzętu medycznego dla ratowania życia dzieci.

Składam serdeczne podziękowania dla wszystkich osób zaangażowanych w to wydarzenie, dziękuję Władzom



Uczelni za udostępnienie pomieszczenia, które służyło nam za siedzibę Sztabu WOŚP, pracownikom uczelni za techniczną pomoc w organizacji sztabu.

W szczególności dziękuję zaś moim kochanym wolontariuszom, którzy pomimo zmęczenia kwesowali do końca dnia, osobom w sztabie- bez was nie poradziłibyśmy sobie z kwestią organizacji. Wasza postawa, oraz wyrozumiałość dla Szefowej sztabu, utwierdziła nas w przekonaniu słuszności naszych poczynań.

Szef Sztabu
Kamila Pietnica
multis multum

Work & Travel – sposób na wakacje

Brak planów na wakacje? Przecież najwyższy czas o tym pomyśleć. A może brakuje Wam funduszy na nowy komputer, wymarzonego Golfa II GTI o mocy 160 KM z '90 roku lub wartościowy kurs języka angielskiego, który wreszcie podniesie Wasze możliwości językowe? A dlaczego by nie wypocząć, zaoszczędzić na kursie, zarobić i jeszcze zwiedzić niezwykle miejsca, w których nigdy nie byliście?

Rozwijający się dział turystyczny naszego Inkubatora Przedsiębiorczości Aktywni.pl, oferuje już po raz drugi możliwość zrealizowania tych marzeń. Rok temu po raz pierwszy wysłaliśmy naszych studentów (i nie tylko) do pracy wakacyjnej w Stanach Zjednoczonych w ramach programu Work&Travel. W sumie dzięki naszej inicjatywie wyjechało ponad 120 osób.

Czym jest sam program Work&Travel? Prawdopodobnie każdy student spotkał się już z tym określeniem, ale może nie każdy wie dokładnie, jakie korzyści i warunki uczestnictwa kryją się za tym hasłem. W&T to program, który corocznie umożliwia pozwala, aby wyjazd kilkunastu tysięcy polskich studentów wyjechało do USA.

Jak to działa

Podstawą do ubiegania się o wizę J1 w ambasadzie jest promesa wizowa DS-2019. Ten dokument wystawiają specjalne organizacje sponsorujące (sponsors), wyznaczone przez DOS „U.S. Department of State”. Wiza J1 (wraz z DS'em) pozwala na legalną pracę w okresie wakacji, przez maksymalnie 4 miesiące. Najczęściej jest to okres między 1 czerwca, a 19 października. Po tym okresie możecie zostać w USA przez dodatkowych 25 dni, w celach turystycznych.

Praca polega najczęściej na obsłudze wszelkiego rodzaju atrakcji turystycznych, takich jak parki rozrywki, hotele, restauracje czy kasyna. Aby móc legalnie pracować potrzebny jest SSN „Social Security Number”. Można go zdobyć w odpowiednich biurach SSO, które znajdują się w prawie w każdym mieście. Wypełnienie formularza nie sprawia żadnego problemu.

Promesa

Aby uzyskać promesę DS 2019 należy skontaktować się z pracodawcą, który zechce Was zatrudnić w okresie wakacji. Na stronach organizacji sponsorujących znajdują się odpowiednie formularze - teoretycznie wystarczy je wypełnić i wysłać do organizacji. W praktyce jednak jest to bardzo trudne - dlatego w Polsce występują firmy oferujące W&T (przedstawiciele organizacji). Skomplikowane? Nie musicie się niczego obawiać, gdyż właśnie po to został utworzony dział turystyczny Inkubatora Przedsiębiorczości Aktywni.pl Jesteśmy jednym z przedstawicieli oferujących korzyści programu W&T. Przeprowadzamy całą procedurę aplikacyjną oraz w Waszym imieniu kontaktujemy się ze sponsorem. W swojej ofercie mamy miejsca, dla osób, które

Kamila Pietnica
Przewodnicząca Samorządu
Studenckiego WSZiB



mają swojego pracodawcę (wariant „Self”), a także dla tych, które go nie mają („Full”). Pomożemy Wam także wypełnić wszystkie formularze, przeprowadzimy testy ze znajomości języka, zaproponujemy odpowiednich pracodawców oraz pomożemy w zakupie i rezerwacji biletu lotniczego.

Pamiętajcie jednak: takie przedstawicielstwa znajdują się w większości miast i corocznie ich ilość rośnie. Dlatego ważną sprawą jest zastanowić się, z kim wyjechać, komu powierzyć pieniądze i jaką ofertę wybrać. Jeżeli macie wątpliwości, przeczytajcie co na temat W&T uważają zeszłoroczni uczestniczki: Kamila Pietnica i Małgorzata Rzegocka:

Przygody są nieodzowną częścią studentckich wakacji, jako największą przygodę mojego życia muszę uznać podróż i wyjazd z programu W&T do USA. Wyjazd ten pozwolił mi najpierw zgromadzić odpowiednie fundusze, a pod koniec pobytu mogłam pozwolić sobie na zobaczenie najciekawszych zakątków Stanów Zjednoczonych. Gorąco polecam i do zobaczenia w wakacje za oceanem.

Małgorzata Rzegocka
Samorząd Studencki WSZiB

Zastanawiacie się, co zrobić i macie rację! Przyjdźcie zatem, po poradę i informacje do Eweliny Studnickiej z naszego działu turystycznego. Jeżeli chcecie wcześniej zasięgnąć szerszych informacji, proponujemy odwiedzić naszą nową stronę www lub skontaktować się osobiście z osobami odpowiedzialnymi za organizację programu.

Pozdrawiam,
zespół Aktywni.pl

KONTAKT:
Ewelina Studnicka
tel. 626 22 46
e-mail: studnicka@aktywni.pl
www.wielkiepodroze.aktywni.pl

Who is who

Od bieżącego numeru miesięcznika **Multis Multum**, będziemy cyklicznie prezentować sylwetki osób aktywnie działających na rzecz środowiska akademickiego **WSZiB** w Krakowie. Pretekstem do tej prezentacji, stały się nagrody przyznane członkom naszej redakcji.

Barbara Szulkowska

Swoją działalność w redakcji zaczęłam już na początku pierwszego roku. Pamiętam to bardzo dokładnie. Przyszłam wtedy na spotkanie, nieco wystraszona i speszona, jednak mój niepokój szybko minął. Zostałam ciepło przyjęta do grona dziennikarzy **Multis Multum** i wówczas wiedziałam już, że chcę brać czynny udział w tworzeniu tego magazynu. Podczas mojej półtorarocznej działalności nauczyłam się bardzo wiele i rozwinęłam moje zdolności dziennikarskie. Muszę przyznać, iż doświadczenie, które zdobyłam w tym czasie, pomaga mi w codziennym życiu. Ostatnio awansowałam na stanowisko sekretarza redakcji i to dla mnie prawdziwy powód do dumy. Mam teraz więcej obowiązków, jednak wiem z autopsji, że czynny udział w życiu uczelnianym daje dużo satysfakcji. Dlatego nie żałuję ani chwili spędzonej na pisaniu artykułów czy spotkaniach redakcyjnych. To przecież duże wyróżnienie móc publikować swoje teksty i cieszyć się, że mój wysiłek został doceniony i zauważony. Mam tu na myśli otrzymane Stypendium Ministra Edukacji Narodowej i Sportu. Jest ono dla mnie wielkim źródłem motywacji, która stanowi fundament mojej przyszłości zawodowej i osobistej.



Piotrek Cielecki

Witam na łamach tego numeru. Wbrew mojej woli, ale pod naciskiem sił wyższych, postanowiono zamieścić moje, prawie boskie oblicze, uwiecznione na fotografii oraz poproszono abym skrobnął kilka słów o sobie, co też właśnie czynię. Trudno jest napisać nawet kilka prostych zdań na własny temat. Zaczę od tego, że urodziłem się i żyję. Czasami coś tworzę, czasami nie. Pracuję w redakcji **MM** i można powiedzieć, że jestem z tego dumny. Każdy człowiek, a w szczególności mężczyzna, musi coś robić, więc jeżeli masz dużo myśli w głowie, nie możesz spać po nocach, ponieważ dręczą Cię własne przemyślenia, napisz o tym. Zostaniesz doceniony. Jestem głodnym sukcesu młodym człowiekiem, który wie, czego chce od życia i patrzy na świat inaczej niż wszyscy. Można spróbować wyobrazić sobie, że każdy czegoś chce. Ja jestem taki sam, tylko, że chcę tego bardziej.



Piotr Olszewski

Moja współpraca z „**Multis Multum**” zaczęła się właściwie już w pierwszym tygodniu studiów. Idąc na uczelnię zdawałem sobie sprawę, iż studiowanie nie polega tylko i wyłącznie na nauce, ale także na zdobywaniu nowych doświadczeń pozadydaktycznych. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, iż poznam tak wspaniałych ludzi i odbędę tak interesującą praktykę.

Po krótkich warsztatach zacząłem pisać pierwsze proste artykuły, które w miarę upływu czasu przeradzały się w coraz obszerniejsze felietony, dzięki którym stałem się posiadaczem legitymacji dziennikarskiej. Teraz, już po ponad półtorarocznej pracy w redakcji mogę stwierdzić, iż zdecydowanie nabrałem wprawę w pisaniu, co przekłada się także na redagowanie różnego rodzaju prac, wymaganych na zajęciach. Cały czas atmosfera pracy jest oparta na czysto partnerskich relacjach, dzięki którym każdy z nas –dziennikarzy- ma w równym stopniu możliwość kreowania kolejnych wydań. Obecnie otrzymałem stypendium Ministra Edukacji Narodowej i Sportu, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, iż bycie aktywnym już podczas studiów, daje niepowtarzalną możliwość osiągnięcia sukcesu w przyszłości.



Kraków i nie tylko Pamięć miejsc

Dzisiaj wycieczka nietypowa. Nie po muzeach, czy zabytkach, ale po miejscach. Miejscach wydawałoby się dobrze znanych, o których wiemy wszystko. Tyle że nie zawsze ta pamięć zachowuje się, a my nie zawsze chcemy pamiętać.

Są w Krakowie miejsca magiczne, są miejsca historyczne. Są też miejsca umęczone. Kiedyś nasączone bólem, strachem i krwią, tkwią dziś jak niemy wyrzut sumienia. Wibrują niesłyszczanym przez nikogo krzykiem. Do takich miejsc zabiorę Was dziś.

Plac Bohaterów Getta

Ciekawe, ilu z kąpiących na boisku piłkę, czy wyprowadzających na spacer swe psy, odpowiedziałoby prawidłowo na proste pytanie „Co tu się działo 60 lat temu?”. Obawiam się, że nikt. Inaczej nie pozwalaliby, by ich psy załatwiały swe potrzeby w miejscu, które dla wielu mieszkańców likwidowanego getta okazało się kresem podróży. To tu spędzano ludzi, by po dokonaniu selekcji, część skierować do transportów odjeżdżających do obozów zagłady, a tych co byli zdolni do pracy, do obozów koncentracyjnych. Przy takich operacjach część (liczona w setkach a nawet tysiącach) była mordowana na miejscu. Nie wiem jak można kopać piłkę w miejscu nasiąkniętym krwią, jak można raczyć się piwkiem, czy innym napojem wysokobrowym. Dlaczego policja nie reaguje, gdy w miejscu będącym de facto wielkim cmentarzem, ktoś załatwia swe potrzeby fizjologiczne. Ale tę znieczulicę mamy chyba zakodowaną w genach. Nawet władze miasta nie do końca wiedzą jak ten problem rozwiązać. Rozpisano co prawda swego czasu konkurs na pomnik, ale jak we wszystkich konkursach, nowatorska i ciekawa koncepcja upamiętnienia (słynne już kamienne krzesła) okazała się zbyt kontrowersyjna. Choć może to i dobrze, że władze wykazują ten marazm. Przy szybkim i energicznym zarządzie moglibyśmy mieć tam już od dawna olbrzymi parking (taki pomysł też swego czasu się pojawił). Sama „Apteka pod Orłem”, gdzie znajduje się ekspozycja muzealna dokumentująca ten czas pogardy, to za mało. Kiedy będziesz przejeżdżał tramwajem przez ten plac wspomnij tych, którzy tu pozostali na zawsze.

KL Płaszów

To miejsce, a właściwie olbrzymi obszar (w największym zasięgu obóz miał 70 hektarów powierzchni), ściśle wiąże się

później przeniesiono tu na stałe. Obóz stał się też miejscem odbywania kar administracyjnych (za łamanie przepisów okupacyjnych) dla Polaków. Według szacunków



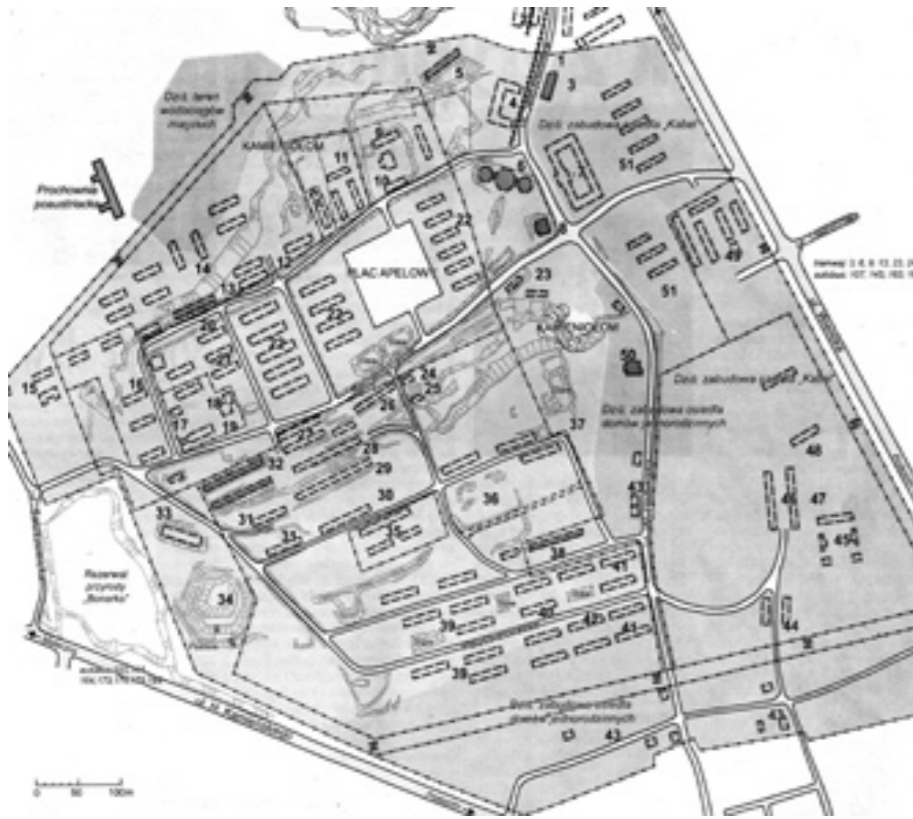
Archiwalne zdjęcie KL Płaszów

z poprzednim. Tu znaleźli swój kres ci, którzy przeżyli likwidację getta. Obóz Płaszów, początkowo jako obóz pracy przymusowej, powstał w 1942 roku. Przy jego budowie pracowali Żydzi z getta, których

powojennych (niestety nie zachowała się żadna dokumentacja) zginęło tu w egzekucjach, z powodu głodu i chorób prawie 8000 ludzi. I Może ta stosunkowo niewielka liczba ofiar (w porównaniu z innymi nie-



Pomnik na terenie KL Płaszów



mieckimi fabrykami śmierci) oraz fakt, że nie było tu zdawałoby się nieodłącznego atrybutu obozów koncentracyjnych (krematoria i komory gazowe) spowodował, że los dość dziwnie obszedł się z tym miejscem. Dziś na terenie KL Płaszów mamy dwa osiedla bloków „Kabla”, dwa osiedla domków jednorodzinnych, a w rejonie dawnej bramy wychodzącej na ulicę Wielicką, super symbol czyli McDonalda. I nikt nie widzi w tym nic niewłaściwego. Kiedy pytam mieszkających tam ludzi, czy wiedzą, gdzie był obóz, to mówią że tam gdzie pomnik (w rzeczywistości to miejsce masowych egzekucji tzw. C-dołek, jedno z trzech obok terenu dawnego cmentarza żydowskiego i tzw. H-górki). Ci ludzie przeżywają autentyczne zdziwienie, kiedy mówi im się, że teren obozu rozciągał się od ulicy Wielickiej po ulicę Kamieńskiego, że tu, gdzie oni dziś mieszkają, ginęli ludzie. Pada wtedy zawsze pytanie, czy władza nie wiedziała, co to za miejsce. No właśnie to jest dla mnie niepojęte, jak można wiedząc, co tu było, wydać zezwolenie na budowę. I nie tylko za komuny tak bywało. Bardzo dużo domów powstało już po 1989 roku. Czy naprawdę aż tak nie chcemy pamiętać? By oddać sprawiedliwość, muszę



Dawny karcer obozowy tzw. Szary Dom

jednak też i pochwalić władarzy miasta. Od roku na terenie obozu znajdują się tablice informacyjne, a Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa stara się o wpisanie Płaszowa na listę pomników zagłady. Podlegałby on wtedy takiej samej ochronie jak Oświęcim, Bełżec, czy Treblinka. Być może znajdują się wtedy fundusze na właściwą ochronę miejsca, które dziś przez wielu jest traktowane jako miejsce wycieczek rowerowych, randek czy darmowe śmietnisko. Może przy okazji upadną pomysły, by na terenie nieczynnego kamieniołomu „Liban”, będącego w czasie wojny obozem pracy przymusowej, utworzyć akwapark. Może będą w końcu właściwie oznaczone zachowane w doskonałym stanie: willa ko-

mendanta (Czerwony Dom), karcer obozowy (Szary Dom) i budynek radiowęzła.

Ul. Pomorska

Wydawałoby się iż to miejsce jest znane i każdy wie o tym, iż w czasie wojny była to siedziba gestapo na dystrykt Kraków. I generalnie tak jest. Tyle że nie do końca. Bowiem mało kto wie, że o fragment katowni zahacza o istniejącą w dawnym kinie Wolność salon bingo. Nie wiem, może jakiś decydent ma makabryczne poczucie humoru i uznał, że to i tak lepiej, niż istniejące tu wcześniej dyskoteki. Ale dla mnie jest to niepojęte. Tak jak niepojętym był fakt wykorzystania Stowarzyszenia Kombatantów i autorytetu Elżbiety Jaworowicz w rozgrywkach wokół praw własności i wielkości czynszu dzierżawnego (to stara sprawa sprzed około 5 lat). Dlaczego ci, którzy byli oburzeni faktem, iż dyskoteka zahacza o pomieszczenia katowni, nie są oburzeni, że teraz w tym miejscu króluje hazard?

I tyle o miejscach. Ktoś spyta może, czemu o tym mówię. Bo naród, który nie umie, czy nie chce pamiętać, musi zginąć. Bo naszym obowiązkiem jest upamiętniać tę olbrzymią daninę krwi, którą złożyliśmy na ołtarzu wolności. Miejsc takich jak te jest w Polsce (wg. Leksykonu Obozów Koncentracyjnych i Miejsc Męczeństwa) około 25 000. Jeśli doliczymy miejsca straceń, kaźni powojennych i katowni UB możemy mówić o 50 600 cmentarzy. I choć nie można iść naprzód, patrząc ciągle w tył, to należy pamiętać. Bo tym, którzy tam polegli, zawdzięczamy między innymi to, że teraz jesteśmy wolni. A jeśli nie będziemy pamiętać, to będzie powstawać coraz więcej dzieł w typie „Upadku”. I będą to dzieła, w których nie tylko hitlerowcy okażą się tymi dobrymi, ale my i inne narody, które składały daninę krwi i męczeństwa, okażą się tymi złymi. To nie my będziemy mordowani, tylko my będziemy mordować. Okaże się że (tak jak już dziś się czasami okazuje) to były polskie obozy do których Żydzi i Polacy zamknęli niewinnych Niemców. Okaże się, że to my jesteśmy temu wszystkiemu winni. I będziemy winni, tyle że własnej niepamięci i zaniechania.

*Po krętych ścieżkach
zbiorowej pamięci oprowadzał
Jerzy Sulima*

Studencka przygoda - rowerem dookoła świata

Ostatnią relację zakończyliśmy, szykując się do ponad 500 kilometrowej przeprawy przez odludne i tak niesamowite tereny, że trudno uwierzyć własnym oczom.

A więc dalej w podróż!!!

Gdy ruszaliśmy do Queenstown, wiedzieliśmy, że czeka nas trudna droga, mieliśmy jednak nadzieję, że w końcu poprawi się pogoda i będziemy mogli ją pokonać w słońcu i bez większych przeszkód. Wiedzieliśmy też, że czeka nas przeprawa przez dość wysokie góry – sama ich nazwa - ALPY – mogła nieco przestraszyć, ale nie zważając na nic, pełni entuzjazmu, ruszyliśmy w dalszą drogę. Pierwszą noc spędziliśmy w przepięknej stadninie koni, kilkadziesiąt kilometrów od Christchurch. Konie to nasza druga, obok rowerów, pasja. W kraju, o ile czas pozwala, dość często i z olbrzymią frajdą jeździmy konno. Przy okazji pozdrawiamy wszystkich koniarzy i jeźdźców. Przez całą drogę uciekaliśmy przed deszczowymi chmurami, które sprawiały wrażenie, jakby nie za bardzo chciały się poddać i za wszelką cenę nas dogonić. Wierzcie nam, że rola ściganego nie bardzo nam przypadła do gustu. Na szczęście dogoniły nas dopiero wówczas, gdy my byliśmy już bezpieczni i deszcz zupełnie nam nie przeszkadzał. Ważniejsze było dla nas to, że już rano pięknie świeciło słońce i mogliśmy spokojnie pedałowić dalej. To zadziwiające, jak w tym kraju szybko zmienia się krajobraz. Przez długi czas mieliśmy przed sobą piękne góry. Z jednej strony się ich baliśmy, z drugiej jednak chcieliśmy z nimi ostro powalczyć. Chyba spowodowane to było lekkim znużeniem krajobrazami krainy, przez którą w ostatnich dniach jechaliśmy, o wdzięcznej nazwie Canterbury Plains. Jest to obszar położony nad Oceanem Spokojnym i jest chyba jedynym w Nowej Zelandii terenem zupełnie płaskim, a przez to monotonnym i nudnym. Piękna pogoda nie trwała jednak długo. Już po kilkunastu kilometrach zaczął wiać lodowaty południowy wiatr od Antarktydy, który wzmagał się z każdą chwilą. Nie mielibyśmy nic przeciwko niemu, gdyby wiał nam w plecy, a nie w twarz. Walka z tym żywiołem była bardzo uciążliwa i niezwykle denerwująca, ale musieliśmy zagryźć zęby i za wszelką

cenę dotrzeć do uroczego miasteczka o nazwie Methaven, które było pierwszym miejscem od kilkudziesięciu kilometrów, gdzie mogliśmy znaleźć suche i ciepłe miejsce do spania oraz odbudować wozone ze sobą zapasy, dokonując zakupów na kilka następnych dni. Miasteczko to okazało się ciche i spokojne w lecie. Zmienia swe oblicze zimą, kiedy to przeżywa prawdziwy najazd turystów, pełniąc rolę bazy wypadowej na okoliczne, cudowne i świetnie zorganizowane, stoki narciarskie. Następnego dnia szybko przekonaliśmy się, że złośliwy wiatr nie chce nas opuścić i zamierza nadal nam towarzyszyć. A co tam – jak musi, to niech wieje - pomyśleliśmy. W drodze do Geraldine przepiękne widoki dodawały nam siły do walki z kolejnymi kilometrami. Małe miasteczko Geraldine było dla nas kolejnym miejscem, w którym mogliśmy się przespać i odpocząć w drodze do jeziora Tekapo, nad które dotarliśmy następnego dnia. Turkusowa tafla jeziora, otoczona ośnieżonymi górami w tle, zrobiła na nas niesamowite wrażenie. Dodatkową atrakcją tego miejsca jest zbudowany na samym brzegu jeziora kamienny mały kościółek

z początku XX wieku. Kilka metrów dalej znajduje się także pomnik psa pasterskiego, wykonany z brązu, przez żonę jednego z farmerów. Wiele razy mieliśmy okazję na własne oczy przekonać się o tym, jak ważną rolę odgrywają te zwierzęta w życiu nowozelandzkich farmerów. Niejednokrotnie, pełni podziwu, obserwowaliśmy jak pomagają one utrzymać farmerom na pastwiskach porządek, oraz jak sprawnie zaganiają ogromne stada owiec i bydła do zagród. Następnego dnia mijaliśmy przepiękne jeziora otoczone alpejskimi szczytami, których stoki nie są zagospodarowane dla turystów, co bardzo nam się spodobało, gdyż można je podziwiać w całej nieskalanej okazałości. Nowa Zelandia jest pełna takich zakątków, które w każdym innym kraju byłyby już dawno zdeptane i zaśmiecone przez masy turystów. Niestety, nie jest jednak krajem całkowicie wolnym od takich miejsc.

Setki tysięcy turystów przewija się corocznie przez miasto Queenstown, do którego dotarliśmy po kolejnych dwóch dniach walki z górami, przełęczami





i niemiłosiernie długo ciągnącymi się podjazdami. Nasze solidne rowery (świetnie znoszą trudy podróży) wraz z bagażem ważą około 35-40 kg. Tak więc poza sobą jest co wozić na te ostre, wielokilometrowe podjazdy.

Miasto Queenstown, położone w przepięknej górskiej scenerii, pełni dwie funkcje. Z jednej strony jest stolicą turystyczną wyspy południowej, a z drugiej światową stolicą sportów ekstremalnych. No i faktycznie można tu spróbować wszystkiego: skoki na bungy, rafting, spływy odrzutowymi łodziami w kanionach górskich rzek, skoki ze spadachronem, loty paralotnią nad miastem. Gdyby komuś jeszcze było mało atrakcji, to może się katapultować lub latać niby-odrzutowym samolotem zawieszonym na stalowej linii pomiędzy ścianami kanionu. Niestety, oprócz odwagi, trzeba tu jeszcze posiadać grubo wypchany portfel. Nasz praktycznie jedyny problem polega na tym, że portfele nasze cieniutkie są, za cieniutkie na te i inne płatne atrakcje. Wspinamy się w kraju po skałkach w okolicach Krakowa, tak więc wszystkie rzeczy, związane z wysokością, były bardzo kuszące, ale niestety nieosiągalne. Przypomniało nam się dzieciństwo i słodycze na kartki. Można je było w sklepie pooglądać, ale kupić i zjeść już nie. Szkoda. Wielka! Pozostały nam tylko marzenia o tego rodzaju rozrywkach



i obejście się smakiem. Nie były to jedyne nasze rozterki. Fatalna pogoda, która nam towarzyszyła prawie przez cały czas podróży po Nowej Zelandii spowodowała, że nie byliśmy w stanie zrealizować w stu procentach naszych planów i zachodzi obawa, że część planów może legnąć w gruzach. Wyjeżdżając w styczniu z Polski zaplanowaliśmy w ogólnym zarysie swój pobyt i trasę rowerowych wojaży, jednakże zakładaliśmy, że pogoda będzie na poziomie średnich wieloletnich. Spłatała nam figla, podbijając wszelkie niekorzystne

rekordy ostatnich 50 lat (najniższa średnia temperatura, największe opady, a i wiatry wyjątkowo zimne i silne). Biorąc pod uwagę, że czekały nas kilometry górskiej jazdy, trudno liczyć na odrobienie zaległości z miesiąca, nawet, jeśli pogoda byłaby wyjątkowo „jezdna”. Jednym z planowanych etapów podróży miała być jazda wzdłuż fiordów. Nie wyobrażaliśmy sobie, że moglibyśmy ich nie zaliczyć. Postanowiliśmy – pomimo kruchości naszych finansów – skorzystać z wypożyczalni samochodów. O podjęciu tejże decyzji rozstrzygnął, jak wspomnieliśmy, brak czasu na dojechanie rowerami do Milford Sound, czyli najwyższych fiordów świata, jak również to, że autokarowa jednodniowa wycieczka z Queenstown „w stylu japońskim” (przejazd autokarem, rejestracja na video, a następnie po wycieczce oglądanie całego nagranego materiału, aby zobaczyć gdzie się było i co tam można było i należało obejrzeć) nad wspomniane fiordy kosztowała aż 300\$ (za dwie osoby). Nie było to zachęcającą opcją i uznaliśmy, że za takie pieniądze to my wypożyczymy samochód i przeniesiemy się z całym majdanem w krótkim czasie o kilkaset kilometrów, następnie przesiądziemy się na nasze rowerki i nadgonimy w ten sposób stracony przez pogodę czas, po czym dalej będziemy podziwiać świat w rowerowego siodełka. Wypożyczenie auta w Nowej Zelandii zajmuje jedynie kilka minut (w sezonie powinno zrobić się rezerwację), dlatego po załatwieniu wszelkich formalności (prawo jazdy, numer karty kredytowej, podpis), ruszyliśmy w drogę. Mieliśmy cztery dni do jego zwrócenia. Cztery dni, to minimalny termin, aby mieć Nielimitowaną ilość kilometrów za rozsądną cenę. Dzięki temu mogliśmy zobaczyć jeszcze miejsca, do których nie wybralibyśmy się - z braku czasu - rowerami. Zwiedziliśmy mnóstwo ciekawych punktów położonych wzdłuż malowniczej, choć na długich odcinkach żwirowej, Southern Scenic Road. Odwiedziliśmy sam „dół” Wyspy Południowej, dotarliśmy do miasta Dunedin, które jest miastem założonym przez Szkotów na początku kolonizacji Nowej Zelandii. No i faktycznie akcenty szkockie widać tu na każdym kroku.

Jedną z atrakcji, którą mogliśmy zobaczyć w tym mieście, jest najbardziej

stroma ulica świata - Baldwin Street - wybudowana na zboczu nachylonym pod kątem 43 stopni.

Kolejny dzień spędziliśmy przedzierając się, w większości szutrowymi drogami, w stronę najbardziej na południe położonego miasta świata Invercargill. Po drodze mogliśmy podziwiać kolonie pingwinów, fok i lwów morskich na Nugget Point. Nazwa Nugget Point (nugget-bryła) wzięła się od grupy skał sterczących na wybrzeżu. To właśnie w ich zaciszu wylegają się wspomniane zwierzęta. Bardzo żałowaliśmy, że kupując aparat, nie dołożyliśmy kilkuset złotych i nie kupiliśmy dodatkowego obiektywu, lub chociażby aparatu z zoom-em. Nie mieliśmy możliwości zbliżenia fotografowanego obiektu i to co na żywo widać wyraźnie, na zdjęciach jest niewielkimi punkcikami. Potwierdziło się porzekadło „czemuś głupi?, boś biedny, a czemuś biedny? boś głupi!” Niestety, szykując się do podróży, musieliśmy się liczyć z każdym groszem i stąd ten nasz błąd. Po powrocie i zarobieniu trochę grosza naprawimy to i następne zdjęcia będą bez wątpienia fajniejsze.

Dodatkową atrakcją tego miejsca jest bardzo malowniczo położona na skałach latarnia morska. Kolejnym miejscem, do



multis multum



którego dotarliśmy tego dnia był Slope Point, najdalej wysunięty na południe punkt Wyspy Południowej. Z niego do wybrzeży Antarktydy jest już tylko niecałe 3000 km. O tym, jak to w sumie niewiele mogliśmy się przekonać, podziwiając surową przyrodę tego miejsca. Zdziwiałe, że nawet tutaj mieszkają ludzie. Co prawda farm jest niewiele, ale są, a my nie mogliśmy się nadziwić, jak twardzi muszą być ludzie, którzy postanawiają tu mieszkać, w takim trudnym i ciężkim klimacie, i na takim odludziu.

Kolejnym naszym przystankiem było miasteczko Te Anau, które jest bazą wypadową do Milford Sound. To tutaj kolejnego ranka ruszyliśmy w 120 kilometrową podróż, jedną z najpiękniejszych dróg świata, Millford Road. Trasa prowadząca brzegiem jeziora, dzikim buszem (z tym buszem to nie pomyłka, ani przesada), brzegiem górskich strumieni, wśród posępnych szczytów, których wysokość przekracza 2000 metrów, sprawia niesamowite wrażenie. To zadziwiające, jak strasznie zdeterminowani musieli być ludzie, budujący tę drogę, gdyż momentami wydaje się to praktycznie niemożliwe. Szczególnie, gdy weźmie się pod uwagę, że jest to jedno

z najbardziej deszczowych miejsc na świecie, gdzie średnia suma opadów rocznie dochodzi tu aż do 10 metrów. My postanowiliśmy pokonać tę drogę bardzo wcześnie rano, dzięki czemu całą trasę mogliśmy podziwiać w samotności. Wiele radości dostarczyła nam pogoda, która od rana była wspaniała. Dzięki niej mogliśmy podziwiać największe fiordy świata w pełnej okazałości. Dodatkową atrakcją był 2.5 godzinny rejs, który zapamiętamy do końca życia. Ogromne szczyty, którymi byliśmy otoczeni płynąc w stronę Morza Tasmana, spadające z nich wodospady, foki wylegające się na brzegu i towarzyszące naszemu stateczkowi w trakcie rejsu, oraz niesamowita, dzika i momentami przerażająca przyroda dostarczają przeżyć, których nie da się zapomnieć. Nie bez powodu autor pięknej powieści „Księga dżungli” po odwiedzeniu Millford nazwał tę krainę ósmym cudem świata.

Dzięki bardzo wczesnej pobudce mogliśmy dodatkowo pozwolić sobie na kilkugodzinną wycieczkę po buszu, który jest zupełnie nienaruszony. Na szlaku mogliśmy między innymi podziwiać rosnące tu drzewa Kauri i Totara które mają często ponad 600 lat, czy też olbrzymie paprocie.

Kolejnego dnia oddaliśmy samochód i z Queenstown ruszyliśmy naszymi kochanymi rowerami w dalszą podróż.

Znieczenie ogólne czyli gdzie się podziłała nasza skłonność do pomagania

Różni ludzie odczuwają zróżnicowaną chęć niesienia pomocy innym. Warunkuje to zarówno kultura, jak i osobiste wychowanie, nie bez wpływu pozostają także czynniki zewnętrzne, takie jak presja społeczna, sytuacja materialna, a nawet brak czasu. Niemniej jednak coś się zmieniło. A może jednak nie?

Ludzie od wieków sobie pomagają

Pierwsze wzmianki o wielkich filantropach znane są nam praktycznie od zawsze. Towarzyszą im legendy i pieśni chwalebne. Symbole niektórych z nich istnieją do dziś – jak choćby wizerunek św. Mikołaja, którego zna każdy (nie tylko dziecko). Dziś zapewne każdy z nas mógłby wymienić przynajmniej kilku, których aktualnie uważamy za wielkich pomagających. Widzimy ich w telewizji, słyszymy w radio, chcemy też wiedzieć, co słychać u dobrych ludzi.

Ale czy sami jesteśmy w stanie nieść pomoc?

A może raczej wolimy, by zrobił to za nas ktoś inny? Co bierze górę – troska o innych, czy zakodowana genetycznie skłonność do „chowania się” za plecami? Znane i udokumentowane są przecież przypadki, kiedy to na przykład w środku dnia kobieta zaatakowana przez nożownika prosiła o pomoc zwracając się do tłumu. W rezultacie nikt nie pomógł biedaczce, ponieważ każdy myślał, że zrobi to za niego towarzysz z lewej lub prawej. Absurd sięgnął zenitu – w biały dzień, na oczach kilkunastu osób, zabito człowieka i nikt mu nie pomógł. Ale czy można winić uczestników takiego „widowiska” za automatyczne odruchy? Przecież każdy z nas wie, że nie należy się wychylać, że zbyt wyraźne odstawanie od grupy sprawi, że to my będziemy poszkodowani.

Więc jak to jest z tym naszym pomaganiem?

Czy pomagamy starszej pani wsiąść do autobusu? Za każdym razem, gdy mijamy żebraka wrzucamy mu parę groszy? Jak często zdarza Wam się być świadkami bezinteresownej pomocy i życzliwości, a jak często jesteście świadkami, lub co gorsza uczestnikami braku uprzejmości? Czy my sami potrafimy wyjść z tłumu i być tym, który wyciąga pomocną dłoń do Pana, któremu przewrócił się rower?

Do dziewczyny, której wypadły dokumenty z kieszeni? A może co innego nami kieruje?

A może to tylko moda na pomaganie?

A może pomaganie stało się po prostu modne? Może nie ma to nic wspólnego z wychylaniem lub niewychylaniem się, ale po prostu byciem „trendy”? Nawet w świetle ostatniej tragedii spowodowanej przez tsunami można zauważyć, że granica między prawdziwym pomaganiem i zwykłym biznesem jest bardzo cienka. Ogłoszenia o błyskawicznie pojawiających się fundacjach na rzecz ofiar, namawiają do dawania, ale jednocześnie promują stację radiową, czy telewizyjną. „Charytatywne” sms-y wspierają nie tylko rzeczywistych potrzebujących, ale zapewniają kolejne transakcje operatorom sieci komórkowych. Gwiazdy kina i estrady są również świadome, że oprócz kolejnego miliona przeznaczanego na cele charytatywne, zapewniają sobie rozgłos i respekt w towarzystwie.

go momentu, w którym jeden z dłużej pracujących ludzi i jedna z większych (o ile nie największych w tej części świata) organizacji dobroczynnych jest oskarżana o oszustwa i malwersacje, i wywieranie złego wpływu na społeczeństwo. Po raz kolejny absurd sięga zenitu – jeden człowiek sprawił, że od kilkunastu lat, raz do roku, niemal każdy Polak sięga do kieszeni i autentycznie, fizycznie, i namacalnie POMAGA – a my zarzucamy mu obłudę i nieczyste sumienie.

Lecz skąd ten sceptycyzm?

Może to nasza niemoc wywołuje powątpiewanie w czystość intencji współczesnych aktywistów na rzecz innych ludzi? Może nasze opory do datków, czy wysiłku na rzecz innych ludzi mają odzwierciedlenie w naszych opiniach na rzecz dobroczynności?

Spójrzmy na przykład na szum wokół Wielkiej Orkiestry Świątecznej pomocy: Doszliśmy do bardzo dziwnie-



Chyba jednak coś się zmieniło.

Oczywiste jest, że z biegiem czasu formy i zasięg ludzkiej pomocy zmieniły się, ale to nie ludzki ale techniczno-technologiczny postęp nam to zapewnił. Co się zmieniło na pewno, to fakt, że kiedyś tym, którym nie był obojętny los innych ludzi, stawialiśmy pomniki i przypisywaliśmy boskie niemal posłannictwo. Dziś niedowierzamy i szukamy luki w nienaturalnym (bo na rzecz innego człowieka) zachowaniu. Ech.

Agnieszka Wicińska

www.esperanto.pl

SALUTON! Tak wita nas strona poświęcona językowi esperanto. To jedna z najlepszych stron języka esperanto w polskiej wersji.

Czym tak właściwie jest to „esperanto”? To język stworzony przed 100

czony dostęp do Internetu.

Jak w każdej witrynie poświęconej językom obcym powinien znaleźć się tu słownik, tutaj też tego nie zabrakło. Słownik tłumaczy z polskiego na esperanto i na odwrot.

A na deser... humor, oczywiście w języku esperanto;)



laty przez dr Ludwika Zamehofa, Polaka, który interesował się językoznawstwem. Pierwszy podręcznik wydał w 1887 r. pod pseudonimem dr Esperanto – co oznacza „mający nadzieję”. Stąd też wzięła się nazwa tego języka... Więcej o historii powstania języka można poczytać w zakładce esperanto - historia.

Funkcjonalność serwisu oceniam na bardzo dobry. Wszystkie zakładki działają i w każdej z nich można znaleźć pożyteczne informacje.

Najcenniejszym miejscem na tej stronie jest podstrona „nauka esperanto”.

Z językami obcymi jest różnie, zapisujemy się do szkół, po czym stwierdzamy, że jednak to nie to, o co nam chodziło.. strata czasu, pieniędzy.. A tutaj całkowicie za darmo można pobrać cztery podręczniki do nauki esperanto! To jeszcze nie wszystko.. Gorąco polecam „Bezpłatny multimedialny kurs esperanto”. Zachęcam do tego z kilku powodów: darmowy, dobry i myślę, że dla osób, które nie miały jeszcze styczności z tym językiem, napisany w jasny, zrozumiały sposób. Podstawowe zasady gramatyki, wymowy...

Dużym plusem są również fragmenty witryny w formie spakowanej (zip). Polecam głównie tym, którzy mają ograni-

Okno strony z prezentowanymi jest w spokojnych kolorach czarno-zielonych, idealnych do nauki:) Jedyne, co może przeszkadzać, to pionowy układ reklam po lewej stronie. Wada to także czat – rzadko kiedy używany..

Stronę polecam wszystkim, którzy chcą poznać nowy język, dzięki któremu można porozumiewać się na całym świecie. Mówi

się, że dzięki nauce esperanto, łatwiej nauczyć się innych języków. Czy to prawda? Aby to sprawdzić polecam właśnie tę stronę.

Teresa Foszcz

www.pilot.pl

Serwis jest internetową, interaktywną mapą polski. Znajdziemy tutaj ponad 36 tysięcy miejscowości. Na stronie tytułowej należy wpisać nazwę szukanej miejscowości. W przypadku, gdy do wyboru jest ich kilka, kilka punktów zostanie zaznaczonych na mapie, a ich lista pojawi się na dole. Zostaniemy poproszeni o sprecyzowanie lokalizacji. Gdy już wybierzemy tę właściwą, zobaczymy fragment odpowiadający położeniu geograficznemu wybranej miejscowości.

Prezentowana mapa jest mapą drogową. Przy pomocy strzałek nawi-

gacyjnych oraz przycisków „zbliz”, „oddal” możemy zmieniać skalę oraz przesuwać interesujący nas fragment mapy. Po prawej stronie znajduje się mapka nawigacyjna, a na niej, czerwonym prostokątem, jest zaznaczony obszar aktualnie przeglądany.

Podstawową informacją, po znalezieniu miejscowości, jest informacja o współrzędnych geograficznych danego punktu. W większości przypadków dowiemy się także, jakie to województwo, powiat oraz gmina, w której znajduje się dana miejscowość. Na tym jednak się nie kończy, ponieważ na temat wielu miejscowości dostaniemy bardziej szczegółowe dane, takie jak kod pocztowy, numer kierunkowy, adres szkoły. W wypadku miast dodatkowo dostępny jest herb, wypunktowany wykaz miejsc wartych odwiedzenia oraz skrócony zarys historyczny.

Dodatkową funkcją jest „linijka”, która pozwala zmierzyć odległość dwóch dowolnych punktów w linii prostej. Na stronie ponadto znajduje się około 600 map różnych miast i miasteczek. W wypadku dużych miast są one mało szczegółowe i służą tylko do ogólnej orientacji w topografii miasta.

Na dole strony mamy do wyboru oprócz języka polskiego pięć innych – angielski, francuski, niemiecki, hiszpański oraz rosyjski. Niestety elementy graficzne strony (włącznie z tymi, które służą do nawigacji) nie zostały przetłumaczone, co może stanowić pewne utrudnienie przy korzystaniu z serwisu dla cudzoziemców. Nie mniej jednak serwis polecam każdemu, kto kiedykolwiek szukał miasta, miasteczka, czy też wsi.

Rojek Tomasz



Mały Endianin vs. Duży Endianin

Ciekawostka, którą dziś opiszę, jest pozornie banalna. Jednak wprowadza chaos tam, gdzie pozornie panuje matematyczny ład i porządek. Okazuje się bowiem, że coś tak precyzyjnego jak cyfrowa technologia, może pobić. Ten sam ciąg bitów może dla dwóch komputerów znaczyć zupełnie co innego. Kolejność bajtów w słowie może mylić...

To czysto inżynierskie określenie, dla większości czytelników w tym momencie pewnie nic nie znaczące. Ale gwarantuję, że po lekturze tego tekstu, spojrzenie na binarny system zapisu liczb może ulec lekkiej przemianie. Najciekawsze jest to, że nawet niektórzy świetni informatycy nie mają o tym zjawisku pojęcia.

W znanej powieści Jonatana Swifta „Podróże Guliwera”, tytułowy bohater styka się z Liliputami, które toczą zaciekle spór o to, z którego końca rozpocząć konsumpcję jajka. Ten błahy problem może urosnąć do rangi niekończącej się filozoficznej polemiki na miarę pierwszeństwa jajka lub kury. Zwolennicy tłuczenia skorupki od węższej strony nazywali się Little Endians, a zwolennicy grubszej – Big Endians, a swojej kłótni nie mogli w żaden sposób zakończyć.

Te dwa słowa mają dziś ogromne znaczenie w inżynierii cyfrowej, informatyce i telekomunikacji, a każdy, kto obraca się w tym obszarze zastosowań, ich znaczenie musi pojmować perfekcyjnie. W tym znaczeniu określenia te zostały użyte po raz pierwszy przez Dannya Cohena w artykule „On Holy Wars and Plea for Peace”¹. Od tamtej pory są używane powszechnie. A dyskusje na ten temat nadal przypominają spory o wyższość Świąt Wielkanocy nad Świątami Bożego Narodzenia.

Dziś niemal każdy wie, że zasada działania komputera i procesora opiera się na zerach i jedynkach, reprezentujących stany wyłączenia i włączenia tranzystora

– czyli prąd jest lub go nie ma. Osiem takich bitów, ułożonych w hierarchii według wartości każdego z nich, nazywamy bajtem, który reprezentuje wartości od 0 do 255.

Przez niemal trzy dekady istnienia komputerów, tylko taka postać reprezentacji wartości za pomocą liczby binarnej była znana i stosowana. Była to epoka komputerów 8 bitowych. Jednak rozwój fizyki i inżynierii elektronicznej pozwolił budować coraz bardziej zaawansowane układy przetwarzania cyfrowego, i ósemka okazała się być za małą liczbą do szybkich obliczeń.

Pojawiły się pierwsze układy obsługujące się liczbami reprezentowanymi przez 16 bitów. Słowa złożone z dwóch bajtów, reprezentowały wartości od 0 do 65535. Dzięki temu, w jednym cyklu procesora, trwającym dokładnie jedno taktowanie jego wewnętrznego zegarka (wtedy ok. 50 ns), można było wykonać dwa razy więcej pracy.

Padło wtedy kluczowe pytanie: Jak ułożyć poszczególne bajty?

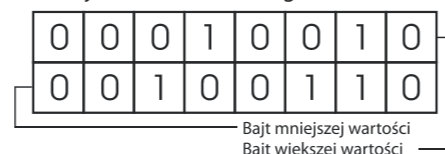
Jeden za drugim – bardziej wartościowa część liczby najpierw, mniej wartościowa potem.

Zonk!

W tym punkcie okazało się, że nie ma jednej dobrej i skutecznej metody ułożenia bajtów w słowie.

Formalnie przełomu dokonała w tym miejscu historii firma Intel, która kładąc nacisk na zgodność swoich nowych

Dwubajt, słowo 16 bitów Big-Endian:

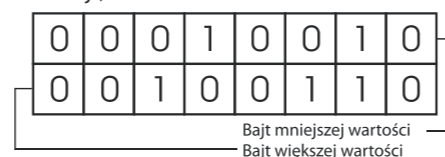


Wartość: (4646)₁₀ (1226)₁₆

procesorów ze starszym rodzeństwem, robiła wszystko, żeby programy na starych procesorach działały równie skutecznie na nowych. Ten kompromis wiązał się z rezygnacją z pełnego przyspieszenia, które dawało 16 bitów, ale dał Intelowi potężny rynek klientów, oczekujących gwarancji działania swoich programów.

Jednak czas obliczeń nie był jedynym kosztem. Aby mniej znaczące wartości słów, złożonych z 16 bitów, mogły być dostępne szybciej dla starych aplikacji, zdecydowano, że właśnie bajt zawierający mniej wartościową część liczby, będzie umieszczany w pamięci jako pierwszy. Tym samym „odwrócono kota ogonem” względem wszystkich innych producentów, tworząc układ zwany Little Endian.

Dwubajt, słowo 16 bitów Little-Endian:



Wartość: (9746)₁₀ (2612)₁₆

Oba systemy przetrwały eskalację na późniejsze rozwiązania 32 bitowe, a ostatnio 64 bitowe. Jednak póki programy nie muszą być przenoszone między obiema platformami, problem nie istnieje. Zgrzyty i szczykanie zębami zaczynają się, gdy obie platformy trzeba zmusić do współpracy. A to dzieje się każdego dnia w naszych pecetach podłączonych do internetu, które trzymamy na naszych biurkach.

Sieci komputerowe powstawały na uniwersytetach, które korzystały z potężnych, jak na tamte czasy, komputerów, zbudowanych na procesorach innych producentów niż Intel i były procesorami o bardziej normalnym układzie bajtów - Big

Endian. Zresztą kolejne układanie bajtów wydawało się projektantom sieci bardziej normalne.

Każdy pospolity pecet jest jednak maszyną typu Little Endian, i aby w ogóle mógł współpracować z sieciami, musi dokonywać zmiany miejsc bajtów w słowach, a co za tym idzie, wkładać w to dodatkowy nakład pracy. Do tego trzeba te zamiany zaprojektować w prawidłowy sposób. Ktoś sprytniejszy zapyta: Ale po co?

Dla usprawnienia przetwarzania danych, wszelkie możliwe operacje są wykonywane na słowach o szerokości odpowiadającej architekturze procesora – dziś to 32 bity, czyli 4 bajty. Wspecjalizowany serwer na procesorach RISC nie musi się martwić – dokonuje operacji na całych słowach i z tego tworzy pełny pakiet danych. Mały PC musi się trochę pomęczyć i wykonać układankę z puzzli o wymiarach 8 bitów, przed jej wysłaniem. I to samo musi wykonać po ich odbiorze. Cały proces odbywa się i tak szybciej, niż gdyby przetwarzać każdy pakiet danych tylko po 8 bitów.

Wybór, który system jest poprawny i prawidłowy, zależy od osobistych

Bajt (8 bitów):



Wartość: (18)₁₀ (12)₁₆

preferencji. Sam jestem zwolennikiem Big-Endian, chociażby dlatego że jest on uznany za tzw. network byte-order (układ bajtów stosowany w sieci). Jajko tłukę z węższej strony. Ale o gustach się nie dyskutuje...

(Footnotes)

¹ Cohen, D.: On Holy Wars and a Plea for Peace. IEEE Computer Magazine, Oct. 1981, 14, s. 48-54

BIZNES

Jedzenie przez Internet?

W Polskim Internecie aż roi się od sklepów internetowych, oferujących różnego typu produkty, począwszy od sprzedaży części komputerowych, a skończywszy na...? No właśnie, na czym? Czy w tym szybko rozwijającym się biznesie internetowym istnieje jakaś granica rozsądku? Wydaje się być to złudną iluzją, która nie ma tutaj miejsca bytu, dlaczego? Gdyż granice tego rozsądku dyktujemy i będziemy dyktować my!

Sprzedajemy komputery, sprzedajemy telewizory, sprzedajemy płyty CD, sprzedajemy bieliznę, takie ogłoszenia w internecie są na dziennym porządku, i nie wzbudzają żadnych emocji, co jednak, gdy spotkamy się z ogłoszeniem typu: „Sprzedajemy artykuły spożywcze”.

Nie ma, co sprzeciwiać się stwierdzeniu, że ile ludzi tyle pomysłów. Nie ma też wątpliwości, że istota ludzka od początku swej długiej historii zawsze zaskakiwała abstrakcyjnymi i niekonwencjonalnymi pomysłami, które dla tych z przeszłości, wydawały się zupełnie idiotyczne, ale już dla tych współczesnych szansą na niezłe zapowiadający się biznes. I to nie ważne czy chodzi tu o sprzedaż wódki, czy Noki 3210, bo przecież najważniejsza jest kasa.

Z oferty może skorzystać każdy, kto ukończył 18 lat i posiada zdolność do czynności prawnych, w 2 godziny po złożeniu zamówienia, kurier dostarczy zamówiony towar. Aby otrzymać fakturę VAT,

należy powiadomić o tym pracownika sklepu internetowego w trakcie składania zamówienia.

Takie warunki widnieją na jednej ze stron internetowych oferujących swoje produkty. Wszystko jest ok, naciskamy przycisk „DODAJ DO KOSZYKA”, i czekamy na swój wymarzony i upragniony towar. Jednak, gdy zastanowimy się głębiej nad swym postępowaniem odczuwamy pewien dyskomfort, który został wywołany przez uświadomienie sobie faktu bierności, i lenistwa. I w tym momencie zadajemy sobie kluczowe pytanie, czy nie zrobiłbym lepiej gdybym poszedł po ten towar do sklepu?

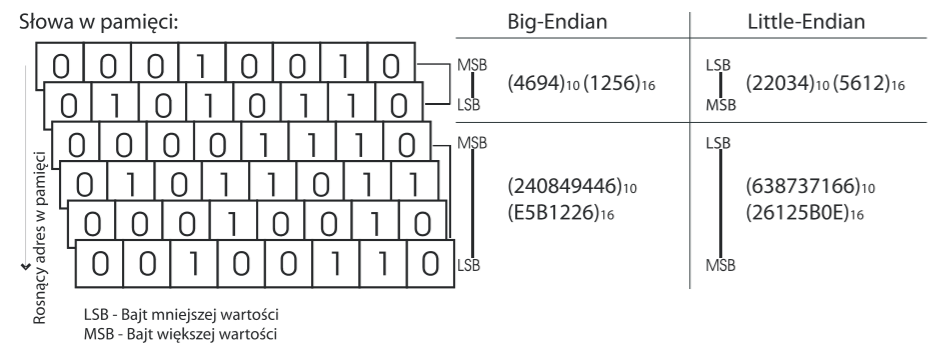
Z pewnością odpowiedź była by twierdząca, skróciłibyśmy nie tylko czas zaspokojenia potrzeby, ale i zaoszczędzilibyśmy nasze pieniądze, bo przecież kurier nie pracuje za darmo!

Jednak problem tkwi w naszej bierności i lenistwie, czy nasza przyszłości

będzie opierała się na kupowaniu wszystkiego nie wychodząc z domu? Pewnie nie do końca, bo przecież żyją jeszcze na świecie prawdziwi tradycjoniści, którzy z tego typu formy nie skorzystają, jak i osoby, które nie kupią czegoś, nie mając możliwości dotknięcia, spróbowania, czy przymierzenia kupowanej rzeczy.

Dynamika rozwoju sklepów internetowych jest bardzo szybka, sklepy tego typu nie zakładają tylko firmy, ale również studenci, bezrobotni poszukujący środków do życia, czy też osoby oferujące coś unikatowego. Procedura zakładania i prowadzenia sklepu jest bardzo prosta, wystarczy nabyć odpowiednie oprogramowanie, którego cena kształtuje się od 270 złotych. Jeszcze tylko mała reklama w Internecie, no i można zaczynać!

Oprócz tradycyjnych sklepów, w globalnej sieci internetowej istnieje miejsca gdzie po aktywacji konta, pozwala-



jącej na zweryfikowanie naszej wiarygodności, można umieścić swe produkty do sprzedaży. Takimi miejscami są aukcyjne strony internetowe. Największą platformą tego typu, jest allegro.pl, powstałe w 1999 roku, dziś liczy sobie 2 mil społeczności, i jest jedną z witryn plasujących się na czołowych miejscach w rankingach odwiedzalności. Kolejnym po Allegro serwisem o charakterze aukcyjnym jest Świstak, który powstał w 2004 roku i jest najmłodszym serwisem tego typu.

Na stronach tych codziennie dochodzi do transakcji kupna - sprzedaży, w których uczestniczą setki ludzi, często jednak dochodzi do łamania prawa, czyli oszustwa, polegającego na podszywaniu się pod inne osoby. Mimo coraz częstszych informacji o wyłudzeniach pieniędzy, chętnych nie maleje a przybywa, i to nie tylko tych sprzedających, ale również i kupujących. Sami zaś programiści poszukują coraz to nowszych i bezpiecznych systemów, które będą zapobiegały takim sytuacjom.

Celem istnienia tych miejsc wymiany pieniędzy za towar, jest zysk, który w zależności od popularności danego sklepu internetowego, czy strony aukcyjnej, jak i od przedmiotów sprzedaży, ich atrak-

cyjnej ceny, i unikatowości może przynosić różne korzyści finansowe. Przy opisywaniu zysków zwykłych amatorów sprzedaży czegokolwiek przez Internet mówimy o setkach złotych, które wspomagają ich budżet, sytuacja podobnie przedstawia się przy zyskach osiąganych za sprzedaż przedmiotów wystawionych na aukcyjnych serwisach internetowych. Jednak sam serwis wychodzi na tym najlepiej. Prowizje i koszty za promocję wystawionych przedmiotów pobierane przez serwisy aukcyjne są już liczone w setkach tysięcy złotych, i coraz szybciej rosną.

Sprzedaż czegokolwiek przy pomocy Internetu nie jest czymś złym, pod



warunkiem że zostaną zachowane tu pewne granice zdrowego rozsądku. Ten sposób sprzedaży, na pewno będzie się rozwijał w szybkim tempie, jednak najważniejsze w tym wszystkim będzie to abyśmy My w tym zagmatwanym tempie nie ztratili czegoś więcej!

Wykonanie i opracowanie:
Bednarski Rafał

Polski outsourcing

Przy dzisiejszym ciągle zmieniającym się otoczeniu najważniejszym, a zarazem najtrudniejszym problemem decyzyjnym polskich przedsiębiorców jest polityka zarządzania kosztami. I nie chodzi tylko o koszty związane z bezpośrednią produkcją, ale także o te koszty, które ponosimy zatrudniając np. księgowych, ochroniarzy czy programistów. Rynek odpowiadając jednak na popyt, daje możliwość redukcji także tych kosztów, właśnie poprzez outsourcing.

Plusy wyręczenia

Wyjaśnieniu jednak wymagałoby samo pojęcie outsourcingu. Najprościej można je postrzegać jako jedną z najnowszych strategii zarządzania, polegającej na przekazywaniu partnerowi z zewnątrz (tzw. outsourcerowi) zadań, które nie są krytyczne dla działalności firmy lub przedsiębiorstwa. Daje więc to ogromną możliwość zarówno dla przedsiębiorstw poszukujących partnerów, jak i dla samych outsourserów. Niewielkie firmy, które już usadowiły się na rynku, chcą skupić się na swojej podstawowej działalności, dlatego też prace, które muszą wykonywać niejako pobocznie, wolą zlecać innym firmom. Dzieje się tak zwłaszcza dlatego, iż na przedsiębiorcach, które je wyręczają, mogą zaoszczędzić od 30 do 50 procent. Rynek nie jest jednak jeszcze podzielony (głównie ze względu na brak wyspecjalizowanych usługodawców) i biorąc pod uwagę, iż w Polsce jest prawie dwa miliony małych i średnich firm, można zauważyć ogromny potencjał tego rodzaju usług. I nie chodzi tylko o to, iż firmom przyda się księgowy czy prawnik, niezatrudniony na pełny etat, ale chociażby fachowiec od komputerów dyspozycyjny całą dobę.

Nie bójmy się tego

Jednym z największych problemów związanych z outsourcingiem jest przede wszystkim obawa pracodawców przed utratą kontroli nad partnerem. Jak

jednak da się zauważyć, zaczęli oni postrzegać ich jako inwestycję, która pozwoli im zaoszczędzić czas i pieniądze firmy. Należy jednak pamiętać, iż trzeba przestrzegać pewnych reguł, decydując się na powierzenie części swoich obowiązków outsourcerowi. Przy zastosowaniu odpowiedniego modelu współpracy, opartym na dobrze dopracowanym kontrakcie, może się okazać, iż kontrola zamiast się zmniejszyć, ulegnie wyrażonemu wzrostowi. Dzieje się tak przede wszystkim dzięki temu, iż zleceniobiorca będzie chciał utrzymać współpracę z zleceniodawcą. W zamian za kontynuowanie współpracy, usługa musi być wykonana za odpowiednią cenę, terminowo i w odpowiedniej jakości. Przedsiębiorstwo korzystające z outsourcingu musi pamiętać o szczegółowym określeniu zakresu usług i sposobu pomiaru ich wykonania. Jest to jedyny sposób, aby zamawiający osiągnął satysfakcjonujący poziom otrzymywanych usług, adekwatny do kosztów, jakie ponosi. To także jedyny sposób przeniesienia odpowiedzialności na dostawcę. Jedną z częstych przyczyn porażek takich projektów jest to, że zamawiający pozwala dostawcy decydować o wyglądzie i poziomie usługi. Z punktu widzenia zleceniodawcy istotne jest także pytanie o wybór firmy partnerskiej. Odpowiedź można uogólnić do stwierdzenia, iż im bardziej złożony mamy do czynienia z obszarem względnie nieskomplikowanym i nie wymagającym wielkich nakładów kapitałowych, najlepiej zdecydować się na kooperację z firmą małą lub średnią, oszczędzając w ten sposób znaczne środki, nabywając dobrej jakości usługę.

Inna obawą, jaka towarzyszy outsourcingowi jest eliminowanie miejsc pracy. Ma to jednak uzasadnienie tylko w krótkoterminowej perspektywie czasowej. Koncepcja outsourcingu

oparta jest bowiem na zasadzie, że należy skoncentrować się na kluczowej działalności, badaniach i rozwoju nowych technologii, a pozostałe obszary outsourcować. Zyski z takiej działalności mogą być więc reinwestowane, generując tym samym powstawanie nowych miejsc pracy.

Outsourcing a globalizacja

Outsourcing jest efektem postępującej globalizacji. Początkowo liderami globalizacji były kraje Europy, Stany Zjednoczone i Japonia. W ostatnich latach do trendu tego dołączają kraje rozwijające się, oferując wykształconą siłę roboczą za ułamek kosztów, które pochłania ona w bogatych krajach Zachodu. Oprócz powszechnego już outsourcingu produkcji coraz popularniejszy staje się outsourcing usług. W wielu branżach w bogatych krajach Zachodu outsourcing procesów biznesowych stał się jedyną szansą na zachowanie zyskowności. Dla prowadzących działalność o niewielkim marginesie zysku, podjęcie decyzji o przekazaniu procesów biznesowych, które nie są kluczowe dla firmy, do krajów o niższych kosztach, może oznaczać różnicę między stratą i zyskiem. Obecnie niekwestionowanym liderem koncepcji outsourcingu są Indie, gdzie dzięki eksportowi samego oprogramowania osiąga się 15 procent przychodów z eksportu.

Strategia dla odważnych

W Polsce choć jest duże zainteresowanie tego rodzaju działalnością, ciągle można zauważyć obawy przedsiębiorców, wynikające głównie z niewiedzy o tej strategii. Jak jednak pokazują liczne badania, przy odpowiednim zastosowaniu outsourcingu trudno jest ponieść straty. Może więc lepiej zająć się właściwą działalnością operacyjną naszego przedsiębiorstwa niż martwić się o księgowość czy zawikłane zagadnienia prawne?

Piotr Olszewski



PRAKTYKI ZAGRANICZNE LEONARDO DA VINCI

Szanowna Studentko! Szanowny Studentcie!

Zapraszamy do udziału w programie praktyk zagranicznych projektu pt. „Studencka przedsiębiorczość - szansą dla rozwoju polskich małych i średnich przedsiębiorstw w Unii Europejskiej” Leonardo da Vinci!!

Celem projektu jest zwiększenie szans studentów WSZiB na lokalnym i międzynarodowym rynku pracy poprzez odbycie 3-miesięcznej praktyki w firmach w

- Wielkiej Brytanii
- Holandii

Projekt skierowany jest do studentów 3 i 4 roku:

- Finansów i Bankowości,
- Zarządzania i Marketingu
- Europeistyki
- Informatyki
- Studiów Uzupełniających Magisterskich

Grant przynawany wyjeżdżającym studentom obejmuje:

- koszty podróży
- koszty ubezpieczenia
- część kosztów związanych z wyżywieniem i zakwaterowaniem



Leonardo da Vinci

Szczegółowe informacje możecie Państwo uzyskać w Biurze Karier Studenckich WSZiB:

ul. Armii Krajowej 4, pok. 05 (budynek Rektoratu)

e-mail: kariery@wszib.krakow.pl

Telefon: (12) 638 52 72



Anime - Niedoceniane piękno prosto z kraju kwitnącej wiśni część 2

Niczym są dla nich wenezuelskie telenowele. Nie znają „Złotopolskich”. Wielu z nich umila sobie czas oglądając bajki. Mają swoich bohaterów i swoich idoli. Nam też kilka razy udało się zobaczyć, przy czym spędzają wolny czas nasi dalecy sąsiedzi z Azji.

Wspomnienie szarańczy

W poprzednim artykule skupiłem się głównie na produkcjach pełnometrażowych. Opisałem ogólnie czym jest anime i podałem kilka przykładów. Z pewnością osoby, które znają temat zauważyły brak jednej z ważniejszych rzeczy. Nie napisałem ani słowa o rysunkowych serialach, które w Japonii panoszą się jak szarańcza po programach telewizyjnych. Cóż tu dużo mówić, kilka razy trafiły i do nas. Mówię tu o dawnej „Dragon Ballowej „Pokemonie” i najstarszej chyba: „Czarodziejce z Księżyca”. Te wszystkie tytuły bardziej teraz wymuszają uśmiech niż zainteresowanie. Nie wiem czy pamiętacie, ale był kiedyś okres, kiedy każdy z tych tytułów budził wiele emocji w młodszej grupie widzów. Potrafiły przyciągać ludzi tak, że wszystko co z nimi związane było wiele razy czytane, oglądane i przede wszystkim – mocno

przeżywane. Mimo że mnie ta mania nie dopadła, znałem wielu takich, u których biblioteczkę zajęła cała kolekcja filmów, komiksów i wielu innych gadżetów z tych seriali. Nie są może one wyrafinowane, ale zbliżają nas bardziej do azjatyckiej kultury.

A gdzie te perełki?

Zdziwi Was zapewne jeśli powiem, że jest wiele bardziej wyrafinowanych, bardziej dorosłych i z pewnością bardziej wartych uwagi seriali anime niż te, o których przed chwilą napisałem. Jeśli czytaliście pierwszą część tego artykułu, nie powinien Was natomiast dziwić fakt, że nie pokazują się one w naszym kraju. Pomimo że nadal są to filmy rysunkowe, nieraz są bardziej interesujące niż znane nam filmy. Jest ich tyle, że nie sposób było by je tu wszystkie opisać. Pozwólcie, że opiszę te najciekawsze.

Cowboy Bebop

Dziwna mieszanka klimatów z westernu i science fiction. To specjalność Japonii, która nieraz częściej widzów irracjonalnymi pomysłami. Tak też, samotni i do szpiku kości indywidualni bohaterowie podróżują przez wszechświat łapiąc „tych złych”, w ten sposób zarabiają na następny dzień. Cenię ten serial ze względu na bardzo dobry humor, jak i interesujące charaktery, jakie dali autorzy głównym bohaterom. Po obejrzeniu całej serii (złożonej z trzynastu odcinków), nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tak naprawdę jest to opowieść o samotności i szukaniu swojego miejsca w świecie. Jest lekki

i miły dla oka, jeśli tego szukacie, polecam właśnie tą produkcję.

Serial Experiments Lain

Trudno tu o jakąkolwiek konkretną recenzję. Wiele osób uważa ten serial za jeden z najlepszych. Z pewnością ma on do tego preferencje. Jego „inność” poraża już od pierwszego odcinka. Wolna akcja, długie chwile zadumy i praktycznie brak dłuższych dialogów buduje niesamowity klimat. Główna bohaterka – Lain, jest cichą i prostą dziewczyną. Całe jej życie zaczyna zmieniać się w momencie, kiedy dostaje komputer. Przez kolejne odcinki widać jak jej pokój powoli zamienia się dżunglę kabli łączących coraz to większe urządzenia. Dlaczego? Z pewnością dlatego, że znalazła swoje drugie Ja. Jedni mówią, że cały serial opowiada o Bogu, inni, że o naszej rzeczywistości albo o życiu i człowieczeństwie. Jest wiele interpretacji, tylko jaką wymyślicie Wy?

Full Metal Panic

Było kiedyś małe dziecko, które zmuszone było walczyć na froncie w jednej z wojen. Teraz wojna się skończyła, a on musi iść na studia... No cóż, w mocno przejawionej rzeczywistości, szkoła wcale nie różni się dla niego od jednostki wojskowej. Nie udało się wbić mu do głowy, że nikt już nie czyha na jego życie ani na znajomych. Oglądając ten serial przygotujcie się na sporą dozę śmiechu. To humorystyczna parodia życia i wojny. Z pewnością będziecie mieli duży ubaw z przygód głównego bohatera. Polecam! Zwłaszcza na długie wieczory.

Każdemu, kto zechce dowiedzieć się więcej, polecam szukanie w internecie. Znaleźć tam można wiele klubów, serwisów i stron, które opisują wszystko, co związane z Anime.

Jacek „DnameIN” Marszałik



Multikino®

www.multikino.pl

PREMIERY W LUTYM:

- | | |
|-------|---|
| 28.01 | BLADE MROCNNA TRÓJCA
SKARB NARODÓW
BLIŻEJ
DZIWKĄ |
| 4.02 | KUBUŚ I HEFALUMPY
MARZYCIEL
BEZDROŻA
MIŁOŚĆ NA ŻĄDANIE |
| 11.02 | POZNAJ MOICH RODZICÓW
ZATAŃCZ ZE MNĄ
MISTRZ
BARDZO DŁUGIE ZARĘCZYN |
| 18.02 | KANDYDAT
ZA WSZELKĄ CENĘ
ELEKTRA
AVIATOR |



Multikino® zaprasza na **Walentynki!**

Przeżyj u nas niezapomnianą randkę.

Czeka na Ciebie moc atrakcji!!!

**Zostań Multikinomaniakiem,
zbieraj punkty,
odbieraj nagrody!**



Kraków, ul. Dobrego Pasterza 128
Informacja i rezerwacja - tel. (012) 617 63 99

Życie jest cudem!

Ten pozytywny okrzyk to tytuł nowego filmu Emira Kusturicy, twórcy m. in. „Underground”, „Czarny kot, biały kot”. Muszę stwierdzić, że lepszego i bardziej optymistycznego tytułu dawno nie widziałam na ekranie kinowym.

Akcja toczy się w bałkańskiej republice, gdzie inżynier o imieniu Luka, próbuje spełnić marzenie swojego życia-kolejowe połączenie pomiędzy bośniackim miasteczkiem a Serbią. Sielankę przerywa wybuch wojny w 1992 roku. Żona Luky-Jadranka, niespełniona śpiewaczka operowa-ucieka z przygodnie poznanym węgierskim grajkiem, jego syn Milosz zamiast do drużyny piłkarskiej, trafia do wojska i w niedługim czasie dostaje się w ręce wroga. Luka zostaje sam z niemal uczłowieczonym kotem i wiernym psem., by wkrótce poznać uroczą Sabahę, która trafia do niego jako zakładnik, mający być wymieniony na jego syna. Ślepy traf sprawia, że bohater zakochuje się w swoim więźniu. W dodatku Sabaha jest muzułmanką, a Luka Serbem, a przecież ta różnica była przyczyną wojny...

Czy w rzeczywistości, w której dominuje wrogość i rządzi krwí, można dopuścić możliwość istnienia jakichkolwiek pozytywnych uczuć, takich jak miłość? Reżyser udowadnia, że wszystko może się zdarzyć. Ten film potwierdza teorię, że nawet na wysypisku śmieci może wyrosnąć pachnący kwiat. „Śmierć nie boli. Życie boli.” - to stwierdzenie jednego z bohaterów filmu. Życie to pasmo podejmowania decyzji i ponoszenia za nie odpowiedzialności. To ciąg przepraw w bród przez rwącą rzekę. Jednak życie to nie tylko to. Kryje się ono także w zachwycie nad światem, jakąś rzeczą, czy procesem, jaki jest możliwy tylko u małego



dziecka, które wszystkiemu się dziwi. To właśnie próbuje nam przekazać autor. Cud życia polega na codziennym odkrywaniu go na nowo. Nawet w trakcie wojny rodzą się ludzie, uczucia i można odkryć na nowo sens swojego istnienia.

Kusturica, tak jak i w innych swoich filmach, jest wierny bałkańskiemu klimatowi, który czuć zwłaszcza w szalenię optymistycznej muzyce. W połączeniu z dobrze zrobionymi ujęciami pejzaży, tworzy to nadzwyczajną kompozycję. Na pochwałę z mojej strony zasługuje także obsada aktorska. Postacie na pierwszy rzut oka wydają się płaskie i powierzchowne, ale z drugiej strony, po dokładniejszym przyjrzeniu się im, można dostrzec, że są

to różne żywoły, skonstruowane a n e tak, że współgrają ze sobą. Całość tworzy mieszaną wybuchową. Oczywiście nie brak tu

dobrego, specyficznego humoru, zabawnych dialogów i sytuacji z pogranicza realizmu poetyckiego i fantastyki.

„Bóg nie jest ślepy kotem i wie, co robi”, tak stwierdza postać z filmu. Również Kusturica wiedział, co robi, tworząc ten film. Niektórzy mogą mu zarzucić, że jego wszystkie filmy są do siebie bliźniaczo podobne, ja jednak uważam to raczej za atut niż wadę. Udowadnia on tylko, że można robić coś tak samo, a jednak inaczej i nadal w bardzo kuszący sposób, a filmy wcale nie tracą na popularności. Wręcz przeciwnie - każdy jego film jest niecierpliwie oczekiwany przez publiczność. „Życie jest cudem” to rozrywka skłaniająca do filozoficznych rozważań - w sam raz na szare i krótkie dni, gdyż natchnie optymizmem i zdrową energią każdego.

Ilona Klocek

Zivot je чудо (Jugosławia, Francja, 2004)
Dramat/Komedia czas 154 min.
Reżyseria: Emir Kusturica
Scenariusz: Ranko Bozic, Gordan Mihic
Zdjęcia: Michel Amathieu
Muzyka: Dejan Sparavalo, Emir Kusturica



Bohater „pozytywny”?

Czy można w pozytywnym świetle przedstawić kogoś, kto w pamięci zbiorowej funkcjonuje jako mega zbrodniarz? Czy twórca w imię sztuki ma prawo wypaczać prawdę historyczną? Takie pytania nasuwają się po obejrzeniu „Upadku”

Pewnie gdyby nie bohater i nie takie a nie inne czasy, film ten przemknąłby przez ekrany bez echa. Wpisał się on jednak w pojawiające się coraz częściej w Niemczech opinie o odcięciu przeszłości, o tym, że Niemcy też w czasie wojny ucierpieli. Głosiciele tych haseł zapominają jednak, że zanim zaczęły same cierpieć, hitlerowskie Niemcy doprowadziły do pięciu lat koszmaru dla całej Europy i dużej części świata. Że w skali globu 50 000 000 ludzi zapłaciło najwyższą cenę za obłąkaną chęć zdobycia przestrzeni życiowej. I dla takich ludzi „dzieło” Berndta Eichingera jest objawieniem. Mówi on „zobaczcie, my też byliśmy ludźmi”. Pokazuje wybierającego honorową śmierć Goebbelsa (który w rzeczywistości otrul swoje dzieci, żonę

I tak jest ze wszystkimi bohaterami tego dziełka. Zbrodniarze wojenni to prawie rycerze honoru, mordercy jeńców wojennych zdający sobie sprawę z bezsensowności rozkazu o walce do ostatniego żołnierza, to tylko jego wykonawcy, honorowo poddający się przy pierwszej okazji Rosjanom (ale dopiero po nieudanej próbie ucieczki). Muszę przyznać, że od czasów propagandowych radzieckich filmów wojennych, nie widziałem takiej ilości



kłamstw i nieprawdy. O ile jednak w tamtych dziełach miało to jeszcze jakiś sens (w końcu to Rosjanie byli jednymi ze zwycięzców), to tu jest to po prostu obrzydliwe.

Film ten pokazuje, jak niebezpieczne są próby uszlachetniania przeszłości, nie poparte szczerym i niestety bolesnym rachunkiem su-

Sam film jest po prostu słaby. W pewnym momencie zaczyna widza nużyć ten zdawałoby się nieustający festiwal samobójstw, dokonywanych na różne sposoby. Natomiast końcowa scena filmu jest aż przesłodzona. Oto wierna protagonistka i pieczętni zbrodniarza mijają szpaler zmęczonych żołnierzy sowieckich i wraz z młodym jasnowłosym chłopcem (czyżby alegoria odrodzonych Niemiec?), odjeżdża w przyszłość wolną i świetlaną. Tak naprawdę, tylko dzięki życzliwości oficera radzieckiego, Traudl Junge uniknęła transportu na wschód.

Podsumowując - filmu jako filmu nie polecam, ale polecam go jako przykład, zdawałoby się zapomnianego już, służalczo-propagandowego podejścia do prawdy historycznej.

Jerzy Sulima



o siebie cyjankiem), naczelnego architekta Rzeszy i twórcę koncepcji przemysłowego wykorzystania więźniów Speera, przeciwstawiającego się Hitlerowi, gdy ten nakazuje pozostawienie zamiast Niemiec spalonej ziemi. Dla mnie jednak, prywatnym szczytem zakłamania, okazało się przedstawienie jako pełnego poświęcenia lekarza, ratującego rannych SS-obersturmbannfuhrera Ernsta Guntera Schencka. On faktycznie był lekarzem, tyle że w KL Mauthausen, gdzie zasłynął „doświadczeniami żywieniowymi” na niepełnosprawnych więźniach. Warto dodać, że nigdy nie stanął w Niemczech przed sądem.

Dla młodych Niemców, i nie tylko, wychowywanych w kulturze obrazkowej, film ten będzie objawieniem „prawdy” historycznej. Jest to bardzo niebezpieczne. Dla coraz silniejszego neonazizmu to wątpliwe dzieło jest argumentem w dyskusji, którego siły nie wolno nie zauważyć.

Tyle o historycznym kontekście.



Fortuna sprzyja odważnym

To przewodnia myśl filmu Oliviera Stone'a. Reżyser zdecydował się na przedstawienie losów macedońskiego władcy Aleksandra Wielkiego, który żył w latach 356-323 przed naszą erą. Nie było to łatwe, gdyż dzieje głównego bohatera były bardzo burzliwe, już od dzieciństwa, i pełne wielu kontrowersyjnych zdarzeń. Głównym powodem podjęcia się tego wyzwania przez reżysera było jego fascynacja losami Aleksandra i grecką mitologią.

Wybierając się do kina na film „Aleksander”, trzeba wyposażyć się w duże zapasy żywności, jeśli oczywiście ktoś lubi co nie co przegryźć w trakcie projekcji filmu. Zalecam to, ponieważ film trwa aż trzy godziny. Uplývają one jednak w zaskakująco szybkim tempie, ze względu na wciągającą formułę filmu. Z każdą chwilą widz pragnie się dowiedzieć coraz więcej o tym kontrowersyjnym władcy. Narratorem filmowej opowieści jest Arystoteles (Anthony Hopkins). Opowiada on o podbojach dokonanych przez swojego ucznia. Wartość akcji to zasługa znakomitego reżysera, jakim jest Olivier Stone. Do stworzenia filmu przygotowywał się około 10 lat i jego głównym założeniem było ukazanie mitycznych dziejów w sposób realistyczny, bez zbędnych ubarwień i unikania dyskusyjnych wątków. Produkcja pochłonęła prawie 200 milionów dolarów. Na ekranie możemy podziwiać plejadę hollywoodzkich gwiazd, między innymi: Colina Far-

rella w tytułowej roli Aleksandra, Angelinę Jolie jako Olimpias, Vala Kilmera w roli Filipa II czy Jareda Leto jako przyjaciela Aleksandra Hefajstiona. Postacie zagrane przez tak wybornych aktorów przedstawione są z wyczuciem i umiarem. Reżyser przedstawił Aleksandra nie tylko jako papierowego herosa, o którym mówi historia, lecz także tragicznego i niepokonanego dzielnego męża, który w imię swoich wizji gotów jest oddać życie. W filmie reżyser ujawnia przemilczaną dotychczas w kinie historyczną prawdę o sekretach antycznego łoża. Nie szuka przez swoje stanowisko taniego skandalu, lecz przedstawia realia tamtych czasów, których każdy szanowany historyk jest świadomy. Nie wiadomo więc, dlaczego tak wielu krytyków nie mogło tego zaakceptować. Godne uwagi są również sceny batalistyczne przedstawione w filmie. Wojskowy obóz treningowy przygotowywał aktorów do roli żołnierzy. Jednak kluczowe znaczenie miało odtworzenie walki w szyku bojowym zwanym falangą, który został wymyślony przez Filipa II, a następnie udoskonalony przez Aleksandra Wielkiego. Obecnie Aleksander Wielki uznawany jest za geniusza wojskowości, który dokonywał cudów, pokonując wielokrotnie większe armie od jego własnej.

Już od małego dziecka matka (Olimpias) wpajała swojemu synowi, że jego ojcem jest bóg Zeus, a nie Filip II, król Macedonii, jej mąż. Mały następca tronu dorastał otoczony gorącą miłością matki, jej troską o losy potomka i paranoiczną chęcią doprowadzenia go na tron macedoński, jako prawowitego władcy. Już jako dziecko Aleksander był świadomy swojej siły i boskich korzeni. W jednej ze scen wykorzystał on swoją pewność siebie, żeby udowodnić wszystkim, a przede wszystkim ojcu, że jest godnym następcą tronu. Podczas gdy nikt nie mógł ośwoić dzikiego konia, Aleksander tego dokonał poprzez

rozmowę z nieokiełznanym zwierzęciem. Ojciec pozwala mu go wykupić i chłopiec nadaje mu imię Bucefał. Od tej pory koń towarzyszy mu we wszystkich wyprawach. Kiedy już Aleksander obejmuje po śmierci ojca tron, dokonuje niesamowitych podbojów, znacznie przewyższających dokonania Filipa II. W wieku 25 lat zdobywa niemal cały starożytny świat. Ze swoją grecką i macedońską armią w ciągu 8 lat przemierza 35 tysięcy kilometrów. Na ten sukces wpłynęła przede wszystkim jego odwaga i upór w dążeniu do zamierzonych celów. Niekiedy poza walkami z barbarzyńskimi ludami, główny bohater toczył walki z samym sobą, jak również z piętnem ojca i wpływami matki. Aleksander był wielkim człowiekiem, ale i samotnym. Jedynym jego prawdziwym przyjacielem był Hefajstion, tylko jemu mógł naprawdę zaufać. To właśnie pokazuje film - samotność wodza, króla, ale i przede wszystkim człowieka. Często jego upór przeradzał się nawet w chorobliwą żądzę przewyższenia sławy i dokonań Achillesa. Po pewnym czasie panowania Aleksander zaczął mieć coraz więcej wrogów. Im bardziej kierował się na wschód w swoich podbojach, tym więcej jego sprzymierzeńców odwracało się od niego. Nie mogli się pogodzić z tym, że Aleksander chciał stworzyć uniwersalne państwo. Reprezentował on bowiem władzę, której myślą przewodnią było nie tylko podbijanie coraz to nowych lądów, lecz również łączenie plemion barbarzyńskich w cywilizację pokoju. Jego tragedią było to, że za bardzo w swoich wizjach wyprzedzał swoją epokę. Czy taka idea była słuszna? Czy Aleksander pokonał swoich wszystkich wrogów? Jeśli chcecie znaleźć odpowiedź na postawione pytania zapraszam serdecznie do kin. Naprawdę warto zagłębić się w losy mitycznego władcy, charakteryzującego się ogromną wolą walki i chęcią stworzenia nowego świata, odpowiadającego jego wizjom przyszłości.

Barbara Szulkowska



Blackfield w krakowskiej Rotundzie

I nadzedł: 13 grudnia 2004 - dla większości osób dzień (a raczej wieczór) całkiem zwyczajny, jednak niezwykajny dla tych , którzy tego właśnie wieczoru postanowili iść na koncert Blackfield , czyli wspólny projekt Stevena Wilsona i Avila Geffena. Krakowska Rotunda godzina 18.30 – tłum fanów nadludzkim wysiłkiem próbuje dostać się do szatni. Za chwile (znów nadludzkim wysiłkiem) stają się przed obliczami panów ochroniarzy, którzy w tym momencie wydają się bez serca i przybyłych wpuszczają na sale partiami...

Próba cierpliwości

Wybiła 19.00 – wszyscy czekają. Koncert miał rozpocząć gość specjalny: Richard Barbieri - klawiszowiec Porcupine Tree (macierzystej grupy Wilsona). No, ale jak na razie nikt taki się nie pokazał na scenie...

19.15 - zaniepokojony nieobecnością muzyka na scenie, tłum zaczyna pokrzykiwać, próbując go jakoś przywołać. Dalej nic... Publiczność jest nieco dezorientowana, bo instrumenty, już dawno przygotowane, tylko czekają, aż ktoś wreszcie na nich zagra...

19.30 – wreszcie! Dostyc wysoka postać wyłania się spod zasłon.... Tak, to Barbieri! Wychodzi spokojnym krokiem, dopijając wino. I teraz już tylko słyhać krzyk i brawa witających go fanów;) Richard uśmiecha się i schowany za sporym zestawem licznych instrumentów, przedstawia materiał z solowej płyty. Rotunda zamienia się w alternatywna dyskotekę. Instrumentalne kompozycje człowieka orkiestry, były dość oryginalne (żeby nie powiedzieć, że czasami dość mocno uduziwione). Więcej było tu manipulowania przełącznikami i suwakami niż faktycznej gry na klawiszach, niemniej jednak publiczność była zachwycona. Osobiście cenię twórczość Richarda, ale wole go w Porcupine Tree niż w solowych przedsięwzięciach. Czekałam, więc sobie cierpliwie na Blackfield...

I wreszcie pojawili się... Oni

Steven Wilson - na luzie, w swych charakterystycznych ciemnych okularkach i jak zwykle boso. Natomiast Aviv Geffen zaskoczył wszystkich – czarny garnitur, czerwona koszula i kilka łańcuszków przypiętych do paska spodni... Publiką jednak szybko się przyzwyczaiła, gdyż po każdym utworze artysta zdejmował kolejne części garderoby... (ku uciesze damskiej części publiczności ;))

“Curling lips, fingertips, dead eye dips I saw it all in the blackfield...”

Koncert rozpoczął rewelacyjny „kawałek „Blackfield” (zarówno nazwa zespołu, krążka, jak i utworu). Zaczęło się totalne wariactwo! Każdy, dosłownie każdy śpiewał solidarnie (z zespołem! To było po prostu niesamowite! Przedstawiono pozostałych członków kapeli - trzech Izraelczyków z zespołu Geffena: Chrisa Maitlanda, Gavina Harisona i Yeremiego Kaplana. Steven dzielił się partiami wokalnymi prawie na równi z Avivem (na płycie śpiewa on tylko w dwóch kawałkach „The Hole In Me” i „Pain”). Miłym zaskoczeniem był utwór „Where Is My Love?”. Którego nie znajdziemy na pierwotnej wersji krążka. Chopaki 30 – grali kolejne utwory z albumu, a publiczność szalała.

“We are a fucked up generation... It's cloudy now”

Utwór „Cloudy Now” w środowisku muzycznym nazywany jest hymnem Izraela - mówi o trudnej sytuacji w tym kraju.... Kraju, w którym wszyscy wyrastają w cieniu polityki i wojny. Wykonanie było po prostu zniewalające (i naprawdę nie są to puste słowa)! Nie często się zdarza, żeby zespół gra lepiej na koncercie niż na płycie, gdyż wiadomo zdążają się tzw. wpadki. Tu nie było mowy o czymś takim.

“I show the scars of every fear and doubt I hurt myself to let the darkness out...” - “Glow”

O Blackfield się mówi, że jest to zespół bardziej popowy niż rockowy (oczywiście, nie z tej szufladki popu, w której siedzi sobie Britney Spears). Jeśli tak, to ja więcej takiego „popu” poproszę! Trochę ukojenia dał fanom utwór „Lullaby”- spokojny, „fortepianowy” podkład, ozdobiony „smyczkowymi” wstawkami i smutny głos wyśpiewujący niezbyt optymistyczny tekst... Później „Scars”, „Sumer”, „Open Mind”.... Wszystko w jak najlepszym stylu.

“While I'm melting in the rain, deep in pain, she is so far Will we ever meet again as friends, after so long?”

Powyższy fragment z mojej ulubionej piosenki pt. “Pain” Została wykonana dwukrotnie na gorące prośby fanów. Utwór, moim skromnym zdaniem, genialny! Tekst piosenki naprawdę ujmujący. Giffen powiedział, że piosenka powstała po tym jak rzuciła go dziewczyna – wzbudziło to ogromne poruszenie wśród fanek Publiczność spisała się znakomicie, chłopcy więc bisowali trzy razy. Ciekawą kompozycją jest też „The Hole In Me”- niczym walczyk porywający do tańca...

“Through a different kind of silence I'm waiting, I'm wasting Into the road of sadness I'm walking without you..”

Fragment z jednego z popularniejszych (nie bez przyczyny) utworów: „Hello”, który został zagrany na zakończenie. Pozostawił on fanów w takim stanie, jakby mieli pytać: „Jak to? Już – koniec?!” Blackfield miało się ochotę słuchać jeszcze raz, drugi, trzeci... To było naprawdę niesamowite wydarzenie.

Muzyka, jaką tworzą, to coś dla tych, którzy nie lubią ciężkiego rocka, ale nie chcą się poddawać komercyjnej papce, którą serwują obecnie stacje radiowe (no może oprócz Trójki i programu Piotra Kaczkowskiego. To praktycznie dzięki niemu mogliśmy usłyszeć Blackfield po raz pierwszy w wieczornych audycjach). Piosenki mają w sobie wystarczający ładunek smutku i nostalgii, by wprawić słuchacza w podobny nastrój. Jest w nich takie „coś”, co skłania nas do refleksji, gdy patrzymy wieczorem przez okno na skąpane w świetle lamp ulice, przemyskających ludzi, którzy są bohaterami wesołych lub smutnych historii...

„Kod Leonarda da Vinci” - Dan Brown

„Kod Leonarda da Vinci” sprzedal się w ponad 8 milionów egzemplarzy. Przetłumaczony został na ponad 40 języków, a wkrótce na ekrany kin wejdzie film Rona Howarda oparty na tej powieści, który dodatkowo „nakreśli” sprzedaż książki. Powieść ta rozpoczyna się od morderstwa w Luwrze. Wezwany przez policję Robert Langdon (którego poznaliśmy już w „Aniołach i demonach”) odkrywa na miejscu zbrodni szereg zakonspirowanych śladów, które stanowią klucz do niezwykle tajemniczej sięgającej korzeniami początków chrześcijaństwa. Brown w „Kodzie...” zaprzecza niemal wszystkiemu, w co wierzą chrześcijanie.

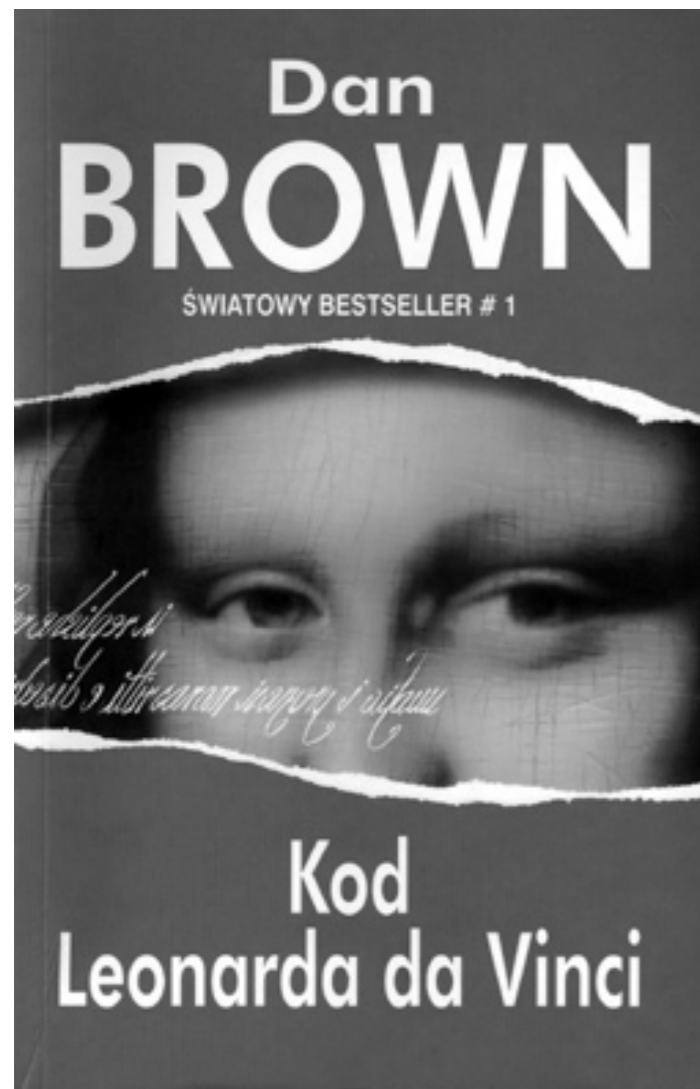
Pisze między innymi, że Jezus ożenił się z Marią Magdaleną, z którą miał dzieci, a kościół katolicki to zataił. W notatce na początku książki, Brown deklaruje: „wszystkie opisy dzieł sztuki, architektury i dokumentów oraz tajnych rytuałów, zamieszczone w tej powieści odpowiadają rzeczywistości”. Autor dziękuje licznym naukowcom, a także instytucjom, co niby ma zwiększyć wiarygodność opisywanych treści, jednak jego teorie oparte są na niewiarygodnie dużej liczbie błędów i przekłamań. Każdy z nas jako człowiek inteligentny może podważyć niejedną „fakt” przedstawiany przez Browna. Sam znalazłem kilka.

Autor twierdzi, że szklana piramida za Luwrem składa się „dokładnie z 666 kawałków s z k ł a ”. Tymczasem dokładnie panie Brown to jest ich 673. Stwierdził też, że greckie O l i m p i a d y opierały się na ośmioletnim cyklu, podczas gdy Olimpiady w Grecji odbywały się jak i nadal odbywają w cyklu czteroletnim. Nieprawdą jest też, że Paryż w V wieku założyli Merowingowie. Paryż założyło znacznie wcześniej celtyckie plemię Parisii. P o d o b n y c h n i e ś c i ś ł o ś c i w „Kodzie Leonarda da Vinci” można by

mnożyć. Skoro w rzeczach tak prostych i łatwych do sprawdzenia autor kłamie to z pewnością nie można mu wierzyć w kwestii tak fundamentalnej jak teologia. O ile w poprzednim numerze zachwyciłem się jego „Aniołami i demonami” to „Kod Leonarda da Vinci” już mnie zdęgstował. Nie można się godzić na jawne zafałszowanie historii. Dan Brown odwołując się do tematów kontrowersyjnych, szokujących, jest typowym komercyjnym spryciarzem. Sprzedaje „Kod...” jako rewelacyjne odkrycie historyczne, jednak (mam nadzieję) doskonale wie jak bardzo mija się z prawdą.

Czytelnicy wybierają się na wycieczki do Luwru, by osobiście zobaczyć miejsca opisane przez Browna. Wyobraźnia autora tak mnie zachwyciła, że aż postanowiłem odwiedzić jego stronę internetową (głównie chodziło mi o to, że może znajdę tam więcej bajek do poczytania mojemu małemu chrześniakowi). Na swojej stronie Dan Brown mówi, że jego „dzieło” nie jest jedynie zwykłą powieścią rozrywkową, ale „dotyczy sekretu, o którym mówiło się szeptem od wielu wieków”. Po przeczytaniu tego zdania nie chcąc już być dłużej nabijanym w butelkę postanowiłem więcej nie szukać informacji na temat prawd zawartych w jego książce. Nie chcę zniechęcać do czytania tej książki bo ogólnie jest dobra, podobać się może, tylko przestrzegam przed kłamstwami które Brown próbuje przekazać jako prawdę. Znane hiszpańskie powiedzenie mówi: „mimo że to kłamstwo, a jednak coś z niego w nas zostaje”. A jeśli kłamstwo podane jest w sposób naukowy - jak to robi Brown - chociaż pozostaje nadal kłamstwem, zostaje w nas jeszcze bardziej. Choć czytanie „Kodu Leonarda da Vinci” jest obecnie trendy, to nie pozwólmy, aby kłamstwa zawarte w tej książce w jakikolwiek sposób w nas pozostały.

Daniel Platek
multis multum



„Zapominamy, że życie jest kruche, delikatne, że nie trwa wiecznie. Zachowujemy się wszyscy, jakbyśmy byli nieśmiertelni”.

Oskar i złota Motylia...

Kiedy Otylia Jędrzejczak zdobyła złoty medal na olimpiadzie w Atenach, zaskoczyła wszystkich swoją decyzją. Mistrzyni olimpijska postanowiła bowiem złoto przeznaczyć na licytację, zaś pieniądze za zlicytowany medal przeznaczyć na klinikę specjalizującą się w leczeniu dzieci chorych na białaczkę - Klinikę Onkologii i Hematologii Dziecięcej w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu.

„Nazywają mnie Jajogłowym, wyglądam na siedem lat, mieszkam w szpitalu z powodu mojego raka i nigdy się do Ciebie nie odzywałem, bo nawet nie wierzę, że istniejesz” – w ten niecodzienny sposób Oskar rozpoczyna swoją historię. Chory na białaczkę chłopiec zmaga się z cierpieniem, nieudaną operacją oraz nieskuteczną chemioterapią, która zbliża go do śmierci. Chłopiec, namawiany przez ciocię Różę, rozpoczyna pisać listy do Boga. Ostatnie dni swojego życia spędzi poznając, czym jest prawdziwe życie.

„Od dzisiaj - mówi do chorego chłopca - będziesz bacznie obserwował każdy dzień, mówiąc sobie, że ten dzień to jakby dziesięć lat” – zgodnie z propozycją cioci Róży dzień życia chłopca będzie symbolizował 10 lat. I to właśnie w ciągu kolejnych dni, chłopiec pozna, czym naprawdę jest miłość, dorosłość, akceptacja cierpienia oraz pogodzenie się z własną słabością. Według Piotra Huniewicza – redaktora działu kultura w „Polityce” – książka jest jedną z bardziej udanych odpowiedzi na pytanie: jak żyć? Nie tyle udaną, co prostą i łatwo przyswajalną. „Oskar i pani Róża” Erica-Emmanuela Schmitta porównywany jest nawet do sukcesu literackiego „Małego księcia”. Świadczyć może o tym ilość sprzedanych egzemplarzy we Francji – w ciągu roku było to 450 tys.

Powiastrka pokazuje każdemu z czytelników jak wiele można jeszcze zmienić, aby nasze życie stało się lepsze, prostsze, pełne miłości przyjaźni i obecności drugiego człowieka. Paradoksalnie okazuje się bowiem, że śmierć stać się może najsmartniejszą nauką życia. Jej zrozumienie przysparza trudności nie tylko chłopcu, ale również jego rodzicom i bliskim. Jedynie wolontariuszka potrafi przekazać prawdę o pięknie miłości, bezsensie nienawiści oraz sztuce umierania.

W połowie grudnia medal Otylii został zlicytowany przez firmę Victoria Cymes na kwotę 257550 zł.

Kwota ta ma pomóc Klinice w zakupie nowoczesnego sprzętu, niezbędnego do leczenia chorych dzieci.

Anna Bernacka



„Podróże z Herodotem” – Ryszard Kapuściński

Nie sposób dziś znaleźć księgarni, w której nie znalazłaby się choć jedna książka Ryszarda Kapuścińskiego. „Podróże z Herodotem” to najnowsze dzieło tego wybitnego dziennikarza i publicysty. Autor powraca w niej pamięcią do początków swojej reporterskiej kariery, pierwszych podróży, doświadczeń i chwil, kiedy zetknął się z twórczością Herodota po raz pierwszy.

Herodot był pierwszym reporterem, ciekawym świata, niestrudzonym wędrowcem, ceniącym historię i pragnącym ją zapisać. Tym, który przemierzał setki kilometrów aby potwierdzić usłyszane historie, zrozumieć je i uwiecznić umieszczając w swojej książce. Był autorem wielu uniwersalnych praw jak np. „łatwiej oszukać tłum niż jednostkę”, „szczęście ludzkie nigdy nie jest trwałe”, „nie upokarzaj ludzi, bo będą żyć żądzą zemsty za to upokorzenie”.

Grecki mistrz reportażu jest dla Kapuścińskiego autorytetem. Książka Herodota zafascynowała go i towarzyszyła mu podczas pierwszych wyjazdów. Do niej uciekał się w chwilach słabości, choćby wtedy gdy, bez znajomości języka i kultury nie mógł się odnaleźć w rzeczywistości obcego kraju. Ona była dla niego schronieniem a zarazem inspiracją, czytał ją niemal w każdej wolnej chwili.

Kapuściński w swojej książce wielokrotnie cytuje słowa Herodota. Sta-



wia wiele pytań dotyczących zapisanych przez niego zdarzeń ale pozostawia je bez odpowiedzi. Odpowiadając na nie budujemy własne tło, kontekst. Przecież historia to nie tylko suche fakty i daty. Historia to wydarzenia, ludzie, ich życie, zachowania i uczucia.

Książka nie należy do lektur, które raz odłożone na półkę, pokryte kurzem, pozostają tam na zawsze. „Podróże z Herodotem” zachęcają nas do podróżowania, poznawania nowych kultur, ludzi, zdobywania wiedzy. Autor jest świetnym obserwatorem, potrafi dostrzec i opisać to, czego my pochłonięci codziennymi sprawami nie zauważamy. Opiswane obrazy są tak realistyczne, że po przeczytaniu książki mamy wrażenie odbycia długiej, emocjonującej podróży, wyprawy podobnej do tej, jaką przeżył Kapuściński wędrując śladami Herodota.

Katarzyna Gędek

„Reise. Reise”

Zmienia się świat, zmienia się muzyka, Rammstein też się zmienia. Jednak wbrew Prawom Murphiego, są to tylko i wyłącznie zmiany na lepsze. Może już nie tak industrialny to zespół, jak kiedyś, jednak nadal wielki i umiejący zaskoczyć.

Trochę czekaliśmy na nowego Rammsteina. Myślę jednak, że warto było. Pierwsze wrażenie po przesłuchaniu krążka to zaskoczenie. Oni śpiewają nie tylko po niemiecku. Angielski w „América”, rosyjski w „Moskau” czy francuski w „Amour”, idealnie wpasowują się w tematykę i linię melodyczną utworów. A propos rosyjskiego to początkowo myślałem, że chłopaki do chóru zatrudnili dziewczyny z Tatu (w sumie w dzisiejszych czasach spotyka się różne dziwne kombinacje muzyczne), ale dokładna lektura okładki ukazała, że to tylko tatupodobny głosik. Sam Till Lindemann w „Amour” brzmi prawie jak Charles Aznavour.

Muzycznie też trochę zmian. Mniej przesterowanych gitar, a nawet cały utwór nagrany na „akustykach”, z zachowaniem tylko marszowej rytmiki (jak w „Los”). Trochę funkowa perkusja w „Morgenstern”. Nie jest to już taki, jak ktoś powiedział, metalowy Kraftwerk, ale w całości brzmi super. Widać, że chłopcy rozwijają się i muzycznie i kompozycyjnie. Najważniejsze jednak, że szukając nowych możliwości czy brzmień, pozostają ciągle tym dobrze znanym nam Rammsteinem (z „Sonne” czy „Du Hast”). Promujący płytę singiel „Main Tail” ładnie nas wprowadza w klimat krążka. Kolejny „América” to już bardzo dobrze przyjęty hit. Dla mnie

osobiście najlepszym jednak kawałkiem jest „Moskau”. Za muzyczny majstersztyk trzeba uważać „Morgenstern”, brutalny muzycznie, z piękną, lekko barokową melodią w refrenie. Może jedyną kropelką goryczy jest dla mnie przeładowanie końca albumu spokojnymi utworami, które choć cudowne (jak balladowy „Stein um Stein”), w nadmiarze są ciut nużące.

Podsumowując, to może jeszcze nie ich „czarny album”, ale jeśli chłopaki utrzymają ten poziom i styl, to ich następny krążek będzie mógł być na pewno takim.

Jerzy Sulima

Kącik poezji

Luty jest miesiącem „dnia zakochanych”, dlatego też tematem przewodnim niniejszego „Kącika poezji” jest miłość. Autorką wierszy jest Agata Ćwiertnia, którą bliżej można było poznać w debiutującym na łamach Multis Multum „Kąciku poezji”. Zapraszam serdecznie do lektury wierszy o najpiękniejszym uczuciu na świecie.

NAJPIĘKNIEJSZE UCZUCIE

Miłość-
najpiękniejsze uczucie
budzić się co dzień
i wiedzieć
że jesteś
gdzieś może i nawet daleko
ale wciąż...
Jakie to ważne

Miłość do Ciebie-
najpiękniejsza z najpiękniejszych rzeczy
i nieśmiertelna jak wiatr
Jesteś
i to zupełnie wystarczy
Bo ja Cię kocham
i dzięki temu życie
piękniejsze jest niż w snach

MOTYLE

W dni takie jak dzisiaj -
złote, błyszczące, miedziane
rozumiem co znaczy
kochać
bezwzględnie wypowiedziane

Już wiem
co znaczy
gdy serce
przyspiesza na widok człowieka
i zatrzymuje się w biegu
jakby ktoś szepnął:
poczekaj...

W chwilach takich jak teraz
gdy dzień ku końcowi się chyli
pełno jest we mnie słońca
i w głowie mej taniec motyli

I kiedy widzę Ciebie
- ja zawsze na Ciebie czekam -
to patrzę Ci w oczy
jak w słońce o wschodzie
i wszystko się we mnie
uśmiecha

MÓJ SEN

Idę
Podążam ku Tobie
Uśmiechasz się
Jesteś
Ja też
Stoimy razem
jak na jednym pastelowym pejzażu.

Patrząc na mój cień
widzę tylko jasne drewniane ramy,
mnie ciebie dotyk spojrzenia
i lustrzane odbicia naszego wspólnego domu.

I już nie idę, lecz
unoszę się ku Tobie,
a Ty wyciągasz ręce w moją stronę...

Jestem
w Twoich silnych ramionach,
Zastygam
w bezruchu i czekam
najdelikatniej jak tylko mogę.

Cicho jak gdybym to ja była
własnego cienia obrazem-
Jestem...
i Twój dotyk,
nasze usta,
moje oczy,
Twój uśmiech-
To wszystko
jak farby się zlewa w nasz świat
w moim śnie,
gdy jesteśmy razem.

COSTA BRAVA

Oto jest wiatr
który zanieś mój pocałunek do ciebie
gdziekolwiek byś był
Na złotych skrzydłach pomknij przed siebie
ku niebu
niosąc gwiazdzisty pył

Dokąd idziesz
gdy niebo południa zamienia się w ametyst
i zapada zmierzch
W szmaragdowej wodzie poblyskują gwiazdy
powoli wszystko cichnie

a wiatr wstępuje na skalisty brzeg

Dookoła ciebie
jest świat jaki widzi się czasem w snach
tych najpiękniejszych
Otoczony rzędami cyprysów i pinii
wędrujesz
a pod stopami dostrzegasz księżycowy blask
jakby srebrniejszy

Wciąż ciebie widzę
jak siedzisz zamyślony w śródziemnomorskim
ogrodzie
a myśli twoje daleko
Niech wiatr ten najszybszy zanieś do ciebie
wiadomość
ja czekam

TĘSKNOTA

jesteś?
Przecież to tak daleko
tęsknię
choć wiem że ty wcale
nie chcesz
i się w milczenie oblekasz
kocham
pomimo tego że boli
i czekam
na to co niezrozumiałe

WIERSZYK DLA M.

Radość płynąca z życia:
najprostszy kawałek muru,
cztery cegły
i bluszcz.
Tak niewiele mi trzeba do szczęścia:
być z tobą,
dotykać słońca
i już :-)

Kącik poezji redaguje Daniel Płatek

Frustracja polskiego narciarza...

Opinii na temat warunków narciarskich, panujących w Polsce, jest prawdopodobnie więcej, niż samych amatorów tego sportu. Jednak dopiero warunki pogodowe i przygotowanie stoków weryfikuje wszelkie dane.

Tegoroczna przerwa świąteczna (bez śniegu!) uwolniła na światło dzienne wszelkie bolączki polskich nartostad i stacji narciarskich. Ci, którzy postanowili spędzić tegoroczny urlop aktywnie, stanęli przed niełatwym dylematem. Śniegu było bowiem niewiele, a chętnych do szusowania znacznie więcej. I choć teoretycznie w Polsce wyciągów i tras znajduje się sporo, niestety znaczna ich część nie jest wyposażona w sprzęt do ratkowania oraz w armatki śnieżne.

Ośrodki narciarskie kusily również ofertą Sylwestrową. Dla najbardziej zapalonych sportowców przygotowane były trasy w Białce Tatrzańskiej (Bania), Wierchomlii, w Zawoi (Mosorny Groń) oraz na stokach Jaworzyny Krynickiej. Nie zabrakło również atrakcji u samego podnóża Tatr - w Zakopanem.

Na całe szczęście, ku uciesze tych najbardziej wybrednych, w wielu ośrodkach w Polsce nadal stara rozwijać się swoją ofertę. Należy się tu głównie pochwała dla ośrodka Kotelnica w Białce Tatrzańskiej oraz dla Szklarskiej Poręby (inwestycje w realizacji). W sferze marzeń pozostaje natomiast modernizacja ośrodków w Szczyrku. Przypomina to istny spór między chłopem, wójtem i właścicielem wyciągów - Centralnym Ośrodkiem Sportu. Powoduje to coraz większe kolejki, i narastającą frustrację narciarzy. Podobnie Pilsko pozostające pod władzą Gliwickiej agencji turystycznej pozostawia wiele do życzenia. Bardzo atrakcyjna góra, może zrobić wrażenie - pod warunkiem, że jest dobrze przygotowana. Niestety z reguły zjazd najdłuższą trasą utrudniają kamienie na Hali Miziowej. Warto jednak wyjechać ostatnim orczykiem na sam szczyt i rozkoszować się panoramą zimowej aury (o ile taka do nas zawita tego roku). Często odwiedzonym miejscem stała się również Krynica. Kolej gondolowa pracująca na Jaworzynie Krynickiej znajduje coraz większe grono odwiedzających. Dla najbardziej ambitnych czeka tam ścianka z homologacją

Oto dziesięć najlepszych, narciarskich miejsc w Polsce wg tygodnika „Polityka”

Jaworzyna Krynicka	za zróżnicowanie tras, nowe inwestycje, dbałość o narciarzy, ofertę gastronomiczną i podejście do narciarstwa. Najdłuższa w Polsce (2,6 km) sztucznie oświetlona trasa
Białka Tatrzańska	za podobne walory
Kasprowy Wierch	przy wszystkich niedostatkach to jednak najpiękniejsza góra w Polsce
Wierchomla	za świetnie zorganizowany system naśnieżania i znakomite przygotowanie stoku
Nosal w Zakopanem	za frajdę, jaką daje zjazd po trasie FIS
Stożek w Wiśle	na pewno nie za kolejki do wyciągu, ale jazda po Stożku to wielka przyjemność
Polana Szymoszkowa w Zakopanem	nowoczesne krzeselka i łatwy dojazd
Ski Arena na Szczyrcu (Szklarska Poręba)	jak już człowiek wjedzie na górę, ma poczucie wolności i parę ładnych kilometrów szusowania
Szczyrk (Biała, Czarna-Solisko, GOS)	mimo wszystko to wspaniałe miejsce do jazdy (z powodu lokalnych konfliktów nie wszystkie trasy są udostępniane narciarzom)
Słotwiny w Krynicy	za pojemność stoku, przestrzeni pod dostatkami, a do tego raj dla snowboardzistów

cją FIS (inna taka trasa czeka na Nosalu). Podobnie stacja na Azotach - Slotwinach, staje się coraz częściej odwiedzaną głównie przez snowboardzistów. Pochwalić należy również oddaloną od Krynicy 30 km Wierchomlę. Doskonale przygotowanie stoku, 4-osobowe krzeselko, oraz 1600m trasy zjazdowej sprawia, że coraz chętniej zjawiają się tam turyści - narciarze.

Przykładem dla inwestorów winna być otwarta w Bytomiu „Sportowa Dolina”. W centrum Polski powstało całoroczne centrum narciarsko snowboardowe. W skład, którego wchodzi trzy wyciągi narciarskie, 700 m tras zjazdowych, park zabaw zimowych dla najmłodszych z karuzelą do nauki jazdy, dwie restauracje, wypożyczalnia sprzętu sportowego, snowpark „White Cross Superpark”, zimowy tor dla Quadów, sklep sportowy, trasy rowerowe i widokowe, a już niedługo także centrum tenisowe, mini zoo, park zabaw, kompleks basenów i snowpark. Aż chciałoby się widzieć taki kompleks w Małopolsce.

Jest jeszcze góra w Polsce - ta, z której zjazd stanowi punkt honoru każdego sportowca. Takich widoków i takiej wysokości (1985 m. n.p.m.) nie ma nigdzie - tylko na Kasprowym Wierchu. Niestety długości kolejki w Kuźnicach (bywa, że czas oczekiwania to kilka godzin), nie rekompensuje sposób przygotowania trasy. Prawda jest jednak taka, iż na Kasprowy wypada pojechać, nic bowiem narciarzowi nie daje takiej satysfakcji jak zjazd z Kasprowego. Pozostaje poczekać na prace remontowe lub dalsze inwestycje PKL.

Tymczasem życzę zatem jak najmniejszej liczby kontuzji i jak najobfitszych opadów śniegu.

Anna Bernacka

Ludzie (bez)honoru

Mniej więcej rok temu o tej porze odbyła się prezentacja nowego zespołu i kierownictwa Wisły Kraków. Wśród kibiców zapanowała euforia. Zewsząd można było słyszeć głosy, że jest to najsilniejszy skład, jaki Wisła do tej pory miała. Mówiono, że na „Białą Gwiazdę” nie tylko w Polsce, ale i w Europie, nie będzie mocnych. Sam też prezentowałem taki pogląd. Jednak po roku jesteśmy już o wiele mądrzejsi i widzimy, że byliśmy w błędzie.

Żalose porażki

Pomimo idealnych warunków stworzonych trenerowi i piłkarzom, Ci odplacili się porażkami z Realem Madryt i Dinamem Tbilisi. O ile porażki z Realem mogły być „usprawiedliwione”, tak porażka w dwumeczu z Gruzinami była totalną kompromitacją. Ta konfrontacja z punktu widzenia finansów klubu była najważniejsza. Niestety, poza panem Czerwińskim, nikt inny nie zechciał wziąć na siebie odpowiedzialności za te niepowodzenia. Pamiętajmy, że za wyniki zawsze odpowiedzialny jest trener, a jeśli ich nie ma, to rezygnuje z posady. Taka jest tendencja na świecie. Jak Real, Barcelona czy też Juventus nie ma wyników - trener odchodzi. Poza pierwszym rokiem pracy trenera, w Europie ponosimy same klęski. Gdy wyeliminował nas Anderlecht był żal, jednak gdy ogrywają nas amatorzy z Oslo (Valerenga) i Tbilisi (Dinamo), przychodzi na myśl tylko jedno słowo: hańba. Przypomnę tylko, że Dinamo Tbilisi nie dość, że nie wygrało w grupie Pucharu UEFA żadnego meczu, to w czterech meczach straciło aż 13 goli, strzelając zaledwie dwa. Nikt nie trzyma się twardo stołka, choć ma ważny kontrakt. Ludzie honoru bez względu na istniejące kontrakty, powinni się w obliczu klęski ze słabeuszami podać do dymisji. Niestety tak



nie zachował się trener Kasperczak.

Chybione transfery

Przy całym szacunku dla jego szkoły trenerskiej należy stwierdzić, że menedżerem jest nieudolnym. Przypomnę tylko, że jednym z pomysłów Kasperczaka było przesunięcie Mauro Cantoro do Tłoków Gorzyce, a Frankowskiego na Cypr. Chyba też nikt nie ma pojęcia po co do Wisły zostali sprowadzeni tacy zawodnicy jak: Ouadja, Bellotte, Brasilia, Edno czy Omeonu. Rozumiem, że to nie ich wina, że Kasperczak widział w nich ukryte talenty. Jego postawa tym bardziej zasługuje na potępienie, iż obiecał właścicielowi, że odejdzie bez przeszkód, jeśli tylko współpraca z klubem będzie się źle układać. Kończąc temat trenera chcę powiedzieć tylko jedno: kontrakt to rzecz święta, ale honor jest ważniejszy od pieniędzy.

Szacunek dla Bogusława Cupiała

Właściciel Wisły Bogusław Cupiał wskazał drogę budowy profesjonalnego klubu. Należy pamiętać, że podstawą sukcesu ekonomicznego jest sukces sportowy.

Pan Cupiał do niedawna wykazywał się dużą cierpliwością, finansując klub mimo braku sukcesów, a wręcz kompromi-

tacji na arenie międzynarodowej. Jednak jak w każdym biznesie, inwestycja musi się przynajmniej częściowo zwrócić. Nie może być tak, że nikt nie poczuwa się do wzięcia odpowiedzialności za porażki. Cierpliwość Cupiała się skończyła, postanowił sprzedać udziały i wycofać się z dalszego sponsorowania mistrza Polski. Dzięki jego wsparciu Wisła zdobyła cztery mistrzostwa Polski, dwa wicemistrzostwa kraju, Puchar Polski, Puchar Ligi i z różnym rezultatem występowała w eliminacjach Ligi Mistrzów i Pucharu UEFA. Wisła jest jedynym polskim klubem, który sprzedał wszystkie karnety na rundę jesienną. Jest jedynym klubem w Polsce, w którym gra 8 reprezentantów kraju. Wreszcie jest klubem, który w ostatnich 7 latach nigdy nie znalazł się poza podium, a teraz znów pewnie kroczy po zwycięstwo. Te sukcesy nie miałyby miejsca, gdyby nie właściciel Tele-Foniki Bogusław Cupiał. To jest jego i tylko jego zasługa, dlatego uszanujmy każdą jego decyzję. Dla dobra polskiej piłki nożnej najlepiej by było, gdyby Cupiał pozostał w klubie. Głęboko wierzę, że tak się stanie. Teraz najważniejsze jest, właściciel odzyskał wiarę w to, że z Wisłą można jeszcze wiele osiągnąć.

Daniel Płatek



Audi A3 Sportback – Mniejszy Władca Pierścieni

Stylistyka... Czym jestem?

A3 Sportback można bezbłędnie rozpoznać nawet w lusterku wstecznym: jego przód jest zdominowany przez osłonę chłodnicy „Singleframe”, otoczoną wyraźną, chromowaną listwą. Zaakcentowane, ukośne linie oraz dynamiczny kształt reflektorów przykrytych przezroczystą pokrywą, nadają obliczu tego samochodu typowy dla Audi ofensywny charakter.

Pochylająca się ku tyłowi, jak w coupé, linia A3 Sportback przypomina model trzydrzwiowy, przy czym delikatnie wyciągnięty ku tyłowi dach pozwala na płynne wkomponowanie nowej formy tylnej partii auta w atletyczną sylwetkę.

Bok auta, oprócz dodatkowych dużych drzwi tylnych, charakteryzuje trzecie okno boczne. Tutaj dolna i górna linia pozioma zbiegają się i podkreślają charakterystyczne dla coupé proporcje. Także oferowany jako opcja, delikatny, a jednocześnie dobrze widoczny reling dachowy doskonale akcentuje sylwetkę.

Duże koła o rozmiarach 16 lub 17 cali (opcjonalnie również 18 cali) podkreślają sportowy charakter nowego Audi A3 Sportback i sprawiają, że jego dynamika widoczna jest nawet wtedy, gdy stoi spokojnie na parkingu.

Optycznym punktem ciężkości A3 Sportback jest mocna, trapezowa partia tylna, dzięki której samochód wygląda zawsze, jakby był gotowy do skoku. Tył auta z „oszczędnie” prowadzonymi liniami i graficznym podziałem płaszczyzn, został zaprojektowany całkowicie od nowa.

Wnętrze

Stylistykę wnętrza A3 Sportback charakteryzuje sportowa elegancja. Wrażenie to potęgują typowe dla samochodów sportowych, nisko umieszczone fotele przednie, podniesiona, szeroka konsola środkowa i przejrzysty układ dużych instrumentów pomiarowych.

Dolna część obramowania okna unosi się delikatnie w górę w kierunku tyłu samochodu i dzięki temu również we wnętrzu obecna jest dynamiczna sylwetka auta.

Zespół wskaźników otoczono prawie okrągłą pokrywą. Jest to element świadomie cytujący stylistykę innych sportowych modeli Audi, takich jak TT czy A4 Cabriolet.

Sportback jest pierwszym autem klasy kompaktowej, w którym zastosowano kierownice

Audi nowej generacji. Kierownice z trzema lub czterema ramionami, charakteryzują się trapezowym elementem centralnym, których kształt nawiązuje do osłony chłodnicy „Singleframe”.

A3 Sportback wyróżnia się doskonałą ergonomią. Dotyczy to przede wszystkim lokalizacji dźwigni zmiany biegów, stojącego pedału przyspieszenia, typowego dla samochodów sportowych oraz czytelnych wskaźników i innych instrumentów, przypominających proste chronometry.

Wszystkie elementy wnętrza zostały dokładnie zaprojektowane pod względem ergonomicznym i estetycznym.

Trzy wersje wyposażenia

Audi A3 Sportback kontynuuje cieszącą się powodzeniem koncepcję wyposażenia, stosowaną w modelu trzydrzwiowym. Do wyboru są trzy wersje, każda o innym charakterze:

- wersja Attraction o dużej dozie indywidualizmu,
- wybitnie sportowa wersja Ambition oraz
- ekskluzywna wersja Ambiente.

Wersje te różnią się m.in. kolorami lakierów, materiałami tapicerek, rodzajem kół, kierownicami i elementami dekoracyjnymi. Na przykład w modelach Attraction elementy dekoracyjne wykonane są z matowego tworzywa sztucznego o głębokiej strukturze, w sportowych wersjach Ambition – błyszczą czarnym lub niebieskim lakierem. W modelach Ambiente są wykonane z drewna Vavona Bernstein. Jako opcja do wszystkich wersji dostępne są także elementy z drewna orzechowego lub aluminium.

Wyraźnie przestronniejsze wnętrze

Zaletą, którą zauważają wszyscy pasażerowie najmłodszego dziecka serii A3, jest znacznie



większa przestronność wnętrza. W Sportbacku odczuwa się to jeszcze bardziej niż w wersji trzydrzwiowej, ponieważ nadwozie tego modelu zostało wydłużone o 83 mm. Dzięki przedłużonej o 68 mm części tylnej zwiększyła się nie tylko długość wnętrza, lecz także wielkość bagażnika. Szeroko otwierające się drzwi oraz wyjątkowo duża, jak na samochód klasy kompaktowej, odległość między tylną kanapą a oparciem przedniego fotela sprawiają, że wsiadanie do tyłu jest bardzo wygodne.

Przy porównaniu z pierwszą generacją Audi A3 widać wyraźnie, że zwiększenie długości wnętrza o 55 mm i szerokości samochodu o 30 mm przyczyniło się do wyraźnego zwiększenia komfortu przestrzennego.

Na zainteresowanie zasługuje dostępny jako opcja, składany środkowy podłokietnik kanapy tylnej, w którym znajdują się nie tylko dwa uchwyty na kubki i schowek, lecz po jego rozłożeniu powstaje otwór do bagażnika, na życzenie wyposażony w specjalny, wyjmowany worek, w którym mieszczą się cztery pary nart lub dwie deski snowboardowe.

Napęd

Silniki sześciocylindrowe, bezpośredni wtrysk benzyny FSI, jedyny na świecie Turbo-FSI i dysponujące dużym momentem obrotowym silniki TDI z wysokociśnieniowym wtryskiem za pomocą



podpompowtryskiwaczy, preselekcyjna skrzynia biegów DSG z podwójnym sprzęgłem, 5- i 6-biegowa manualna skrzynia biegów, innowacyjna 6-biegowa automatyczna skrzynia tiptronic oraz permanentny napęd na cztery koła quattro.

Preselekcyjna skrzynia biegów DSG

Podstawą nowej konstrukcji jest trzwałkowa 6-biegowa skrzynia manualna, która oferuje dużą elastyczność doboru przełożeń. Dzięki zastosowaniu podwójnego sprzęgła wielopłytkowego z inteligentną regulacją elektro-hydrauliczną dwa biegi mogą być włączone równocześnie.

Optymalne strategie przełączania biegów, realizowane przez komputer sterujący, zintegrowany ze skrzynią biegów, pozwalają na błyskawiczną i zarazem komfortową zmianę przełożeń, bez szarpnięć. W każdej chwili kierowca może jednak sam aktywnie

wpływać na wybór i chwilę zmiany przełożenia za pomocą dźwigni biegów ustawionej w pozycji tiptronic lub – zgodnie z manierą wyścigową – za pomocą manetek, montowanych seryjnie przy kierownicy.

Podwozie

Drugi fundament doskonałej dynamiki jazdy nowego Audi A3 Sportback stanowi jego inteligentna konstrukcja podwozia z kolumnami McPherson na osi przedniej i nowym, czterowahaczowym niezależnym zawieszeniem osi tylnej.

Dynamiczne zawieszenie zostało zaprojektowane z myślą o sportowych właściwościach jezdnych z jednoczesnym zachowaniem wysokiej stateczności i pozwala nadzwyczaj łatwo pokonywać zakręty – z napędem przednim oraz quattro. Dodatkową zaletą tego zawieszenia jest wysoki komfort jazdy, który spełnia wymagania stawiane samochodom klas wyższych.

16- lub 17-calowe koła (format 17-calowy stanowi wyposażenie seryjne modeli Ambition) poprawiają osiągi jezdne i stanowią sportowy akcent w wyglądzie auta. Opcjonalnie montowane są koła 18-calowe firmy quattro GmbH. Osiągom silników odpowiada również potencjał układu hamulcowego z dużymi średnicami tarcz hamulcowych.

Właściwości jezdne: dynamika i komfort

Audi A3 Sportback pozwala doświadczyć

wyjatkowej dynamiki jazdy. Dotyczy to nie tylko prostoliniowego toru jazdy, który korzysta ze zwiększonego rozstawu kół. Sportback zachwyca także podczas skręcania: pierwsze subiektywne wrażenie wywołuje wzorcowa precyzja, z jaką samochód posłuszenie podąża za każdym manewrem kierowcy. Sportback bardzo chętnie „współpracuje” z kierowcą, jest dynamiczny i z łatwością pokonuje zakręty.

Karoseria zachowuje się przy tym spokojnie, ruchy nadwozia utrzymywane są w założonych granicach nawet na nierównościach drogi i zakrętach, wskutek czego nie wpływają negatywnie na właściwości jezdne.

Cena

Na koniec chyba najmniej przyjemna kwestia ceny tego samochodu. Za podstawowy model Sportback Attraction z silnikiem 1.6 (102KM) musimy zapłacić ok. PLN 97 934,00* a na model Sportback Ambiente z nowym silnikiem Diesla 2.0 (140 KM) i nowoczesną przekładnią DSG musimy przygotować ok. PLN 121 254,00* a jak wiadomo, lista kuszących dodatków Audi jest naprawdę długa.

Adrian Jaszczuk

* Dane techniczne jak i ceny opisanych modeli pochodzą od producenta i mogą ulec zmianie

	Silnik			
	1.6 FSI	3.2	2.0 TDI	2.0 TDI
Skrzynia/Napęd	6 biegów/przód	DSG/quattro	6 biegów/przód	DSG/przód
Pojemność cm ³	1598	3189	1968	1968
Moc kW (KM) / obr./min	85(115)/6000	184(250)/6300	103(140)/4000	103(140)/4000
Moment Nm / obr./min	155/4000	320/2500-3000	320/1750-2500	320/1750-2500
Wymiary				
Długość x szer. x wys. (mm)	4268 x 1765 x 1423			
Rozstaw osi (mm)	2578			
Rozstaw kół – przód/tył (mm)	1531/1515			
Pojemność bagażnika (l)	370-1120	302-1052	370-1120	370-1120
Pojemność zbiornika paliwa (l)	55	60	55	55
Masa / pojemność				
Masa własna/dopuszczalna (kg)	1265/1825	1525/2085	1380/1940	1410/1970
Osiągi				
Przyspieszenie 0-100 km/h (s)	11,1	6,3	9,7	9,2
Prędkość maksymalna, km/h	196	250	207	-
Zużycie paliwa				
Poza miastem	5,3-5,5	7,6-7,7	4,6-4,8	4,8-5,0
W mieście	8,7-8,9	13,9-14,0	7,2-7,4	7,5-7,7

Na razie nowe A3 Sportback będzie dostępne jedynie z w/w silnikami. Zakłada się wprowadzenie całej gamy z modelu A3.

Antyk, kultura i my

Czy świat antyczny jest bliski czy daleki współczesnym ludziom? Moim zdaniem jesteśmy już od niego bardzo oddaleni i ta przepaść wciąż się pogłębia.

Antyk był okresem rozwoju sztuki i nauki. Ludzie byli wykształceni, kulturalni. W naszych czasach takie cechy są coraz rzadziej spotykane. Górę bierze tzw. wtórny analfabetyzm. Choć okres starożytności jest jak najbardziej godny naśladowania, społeczeństwo cofa się niestety aż do prehistorii.

Przez trudy do gwiazd

Takie motto przyświecało poczynaniom ludzi doby antyku. Ich wynalazki i teorie miały na celu ułatwienie codziennego życia i zrozumienie podstawowych zasad funkcjonowania przyrody. Właśnie wtedy powstały wodociągi, łaźnie, systemy nawadniające. Mam wrażenie, że współczesne odkrycia skutecznie utrudniają nam życie. Na przykład komputer – wszystko fajnie, można pisać i poprawiać błędy (tracimy mniej papieru), troszkę się rozerwać (pliki muzyczne i gry), porozumieć się z drugą półkulą (maile). Niestety zapisywanie wszystkiego na twardym dysku i moc informacji w internecie sprawiają, że coraz rzadziej sięgamy do książek. Dzieciom trudno odróżnić świat rzeczywisty od tego wirtualnego – zrodził się problem - „dzieci mordują dzieci”. A maile ułatwiły pedofiliom zwabianie ofiar.

Zamienię ambicję na dobrą posadę

Dla człowieka antycznego wykształcenie oznaczało lepsze rozumienie otaczającego świata i samozadowolenie. Własne przemyślenia, doświadczenia, rozmowy z filozofami nie narzucały mu konkretnych wzorów, do których musiał się dostosować. A mniej więcej to dziś oznaczają studia. Sam wybór uczelni wpisuje studenta w pewien kanon – wiadomo - co szkoła to tradycja, którą uczeń ma obowiązek kultywować. Zamiast własnego docho-

dzenia do prawd, student dostaje wykaz lektur, a wariacje odmienne od zdania autorów („uznanych autorytetów”) to czysta herezja, w dodatku surowo zabroniona.

Gdzie twoja kultura?

S i e d z i pod mostem. Niestety czasem ktoś przypomni sobie o istnieniu takiego hasła. I kończy się to tragicznie. Książka? Proszę bardzo, romans za 2.50 w kiosku. Teatr? Ależ oczywiście. W dresiku, z Pepsy w ręku. Chopin, Bach, Mozart? Fajni goście, piszą melodyjki do komórek. Kubek z Mona Lisą, twórczość Moneta na podkładce pod myszkę. Oto najczęstsze przykłady zetknięcia się ze „sztuką wyższych lotów”. Takie spotkania coraz częściej stają się powierzchowne, nawet jeśli otrzemy się o kulturę przez duże K, otrzepujemy się i idziemy dalej, jakby nic się nie stało. Oczywiście nie wymagam, aby wszyscy zachłystywali się Kierkegaardem w przerwie między studiami nad Platonem i wczuwaniem się w IX Symfonię. Niemniej szkoda, że nawet sztuka nowoczesna, łatwa w zrozumieniu i przyjazna dla otoczenia, również nie cieszy się popularnością. Czyżby społeczeństwo nie chciało choć odrobinę wyczerzyć umysłu?

Szyfrowe prace Kaczora Donalda?

Żart? Skądże znowu. Wszystko można przerobić na łatwo przyswajalne.



Producenci filmów animowanych i komedii wiedzą o tym najlepiej. Ponieważ większość ich widzów nigdy nie zetknęła się z Mitologią grecką, bajeczka pod tytułem Herkules, przyjmie się jako nowość. To samo tyczy się Homera. Siedząc w kinie na Troi, odczuwałam niejaki dyskomfort, ponieważ wiedziałam jak się skończy ta historia (i tylko czekałam na konia). Jakie było moje zdziwienie, gdy wychodząc z sali słyszałam komentarze: „szkoda, że Grecy se na serio nie wymyślili takiej sztuczki” (mowa o Koniu Trojańskim) lub: „a ja zwiadałem te mury, co je tu rozwalili, jak byłem na wakacjach w Grecji” (chodzi o Troję, której pozostałości, dziesięć warstw - osad, znajdują się w Turcji). Dochodzę więc do wniosku, że nawet jeśli niektórzy fani Brada Pitta wiedzieli, co się stanie w filmie, to raczej z recenzji niż ze źródła.

Paulina Szymańska

Książka też ważna!

W erze telewizji, komputerów i wirtualnej rozrywki coraz rzadziej sięgamy do półki z książkami. Jesteśmy zbyt zabiegani, wечно spóźnieni. Ciągłe brakuje czasu, aby na chwilę usiąść w fotelu i poczytać dzieła wybitnych twórców literatury.

Książka to przeżytek

Niewielu chce się spędzać długie godziny na czytaniu. Potrzeba posiadania wiedzy o wybitnych dziełach literatury została zaspokojona przez współczesne kino. Wygodniej jest zamienić kilkadziesiąt godzin czytania na zaledwie trzy lub cztery spędzone w kinie przy kubku prażonej kukurydzy. Młodzież nie musi już czytać lektur szkolnych. Przeczytali je inni, tworząc przeróżne streszczenia i opracowania. Łatwiej przeczytać mały, cienki bryk, niż trzy tomiska „Potopu”.

Oczytany pan Kowalski...

Ile razy spotkaliśmy się ze

wspaniałą biblioteką naszych sąsiadów? Pewno nie raz. Napuszony pan Kowalski chwali się wyjątkowo dużym i pięknym zbiorem książek. Ciekawe tylko, czy chociaż połowę z nich przeczytał... Zapewne nie miał czasu. Co tydzień wybiera się do księgarni, kupuje jakąś książkę i odstawia na półkę. Czasem tylko sobie przypomina, że wypadałoby to wszystko przed świętami odkurzyć.

Czytanie też cieszy

Przypomnij sobie, ile pieniędzy wydajesz na drożdżówki w szkole, picie i słodycze? A ile wydajesz na kino, dyskoteki i podobne rozrywki? Zamiast kupować jedzenie i picie w szkole możesz wziąć

kanapkę i herbatę z domu. Słodycze są niezdrowe. Na dyskotekę można chodzić rzadziej, a zamiast długo siedzieć w kinie i jeść popcorn można przeczytać wspaniałą książkę, która z pewnością da więcej wrażeń niż najlepszy film. Za zaoszczędzone pieniądze można przecież wstąpić do księgarni. Kilka godzin spędzonych w takim miejscu na pewno nie pójdzie na marne. Dla tych co nie lubią oszczędzać i nie mają w domu miejsca na książki są jeszcze biblioteki oferujące bogate zbiory. Każdy ma szansę znaleźć coś dla siebie. Czy nadal uważasz, że wieczory spędzone nad ciekawą lekturą to nuda?

Olga Tabor

„Tyle” i komórka

W dzisiejszym świecie bardzo trudno jest żyć bez telefonu komórkowego. Każdy potrzebuje kontaktu ze znajomymi - nawet gdy idzie ulicą lub jest na wycieczce w górach. Nigdy nie można mieć choć chwili spokoju. Oczywiście telefon można wyłączyć, ale co się stanie, gdy ktoś będzie miał jakąś pilną sprawę i się nie dodzwoni!?

Wszyscy za kontaktem

Trudno już spotkać na ulicy osobę, która nie posiada telefonu komórkowego. Te małe, przenośne aparaty po prostu zawładnęły naszym życiem. Jak ktoś raz kupił Nokię, Siemens lub Ericssona nie może się z nim już rozstać. Chwile bez niego spędzone stają się koszmarem. Wszyscy dobrze poznaliśmy takie uczucie, gdy przez

przypadek zapomnieliśmy wziąć telefon z domu lub choćby zapomnieliśmy go naładować i niespodziewanie się wyłączył. Taki przypadek powoduje całkowite zaburzenie dziennego harmonogramu prac do wykonania. Szuka się tylko najmniejszej wolnej chwili, aby jednak powrócić do domu i do swojej „ukochanej komóreczki”. Trudno jest się nawet skupić na zwykłych zajęciach. Ktoś przecież mógł zadzwonić?

Telefon dla wszystkich...?

Telefon komórkowy nie jest już tylko dla ludzi młodych i zabieganych. Teraz każdy chce go mieć - począwszy od dziesięcioletka a skończywszy na staruszce, która mieszka sama. Ale po co małemu dziecku telefon?

Większego kontaktu z rodzicami chyba nie potrzebuje, bo wydaje mi się, że w większości przypadków i tak nie pozwalają mu na długo wychodzić z domu. Powodem jest przypodobanie się kolegom. Dzieci będące w centrum zainteresowania muszą mieć telefony komórkowe. Taki jest wymóg grupy, w której żyją.

I co z tego...

Wiele razy słyszy się o złym działaniu telefonów komórkowych. Najdziwniejsze jest, że cały czas zmieniane są oświadczenia w związku z tym faktem. Nie wiadomo komu ufać. Komórki są bardzo zdradliwe. Zabierają nam wolny czas, niszczą nasze zdrowie, a jednak uważamy je za niezbędne. Są bardzo pomocne, jednak nie można przesadzać. Taki telefon powinien być używany z głową, a nie z powodu chęci przypodobania się komuś.

Olga Tabor



Tabu znaczy szeptem

Zewsząd słyszę: wszystko na pokaz. Każda, choćby najbardziej intymna sprawa, omawiana jest na publicznym forum, przy blasku fleszy, wypowiedziach specjalistów. Czyżby tabu przeszło do lamusa?

Jeszcze kilka lat temu, otwierając każdą szanującą się (lub nie) gazetę, natykałam się na dział zwany „tabu”. Już samo to słowo nie było dla mnie, jedenasto- czy dwunastolatki jasne. Tajemnicza otoczka wokół nazwy sprawiała, że zaczynałam czytać dany artykuł. Czasami były to listy starszych ode mnie czytelników, szukających pomocy w bardzo dyskretnych sprawach. Tak dyskretnych, że zamiast zapytać mamy czy przyjaciółki, ogłaszały go na łamach ogólnokrajowego czasopisma. Czy to już nie było zerwanie z tabu?

Po co są zasady...

...oczywiście, po to, by je łamać. Społeczeństwo też narzuciło nam masę swoich, wśród nich kodeks, o czym wolno nam mówić, a co przemilczeć. Nazwano ten zbiór praw „tabu” i od tej pory nikt nie sięgał do tego worka. A znalazły się w nim tematy, które jak świat światem ludzkie były i takie pozostaną. Zakaz mówienia o nich sprowadzał na nieuświadomionych obywateli masę problemów. Swój w tym wkład miała oczywiście cenzura. Ale ją zniesiono ponad 15 lat temu, a tabu dopiero teraz powoli znika.

O tematach tabu...

Jednym z najbardziej „zatabutowanych” tematów był oczywiście seks. Nikt o nim nie mówił, nikt nie pisał, wstyd było nawet pomyśleć. Rzecz tak stara, normalna i potrzebna przecież, nie wiedzieć czemu stała się wstydliva, brudna, skalana. Stosunek płciowy zaczynał się i kończył w małżeńskiej sypialni, a to co się tam działo, powodowało rumieńce panien.

Narkotyki - przez całe dziesięciolecia były domeną tylko marginesu, a stada tzw. „dobrych domów” nie identyfikowały się z tym problemem. Nawet jeżeli zdarzyła się w rodzinie czarna owca (z tego powodu), delikwent zostawał natychmiast wydziedziczany i wyrzucany z domu. Jego nieobecność tłumaczyło się sąsiadom podróżą naukową czy wojskiem. Bardziej dbano o to, co ludzie powiedzą, niż o członka własnej rodziny.

Takich tematów są setki. Antykoncepcja, dzieci rodzą dzieci, wirus HIV, molestowanie seksualne, patologia w rodzinie, korupcja, zbrodnie wojenne. Do czego to doprowadziło? Otóż wielu rodziców do tej pory, gdy natyka się na takie artykuły w prasie młodzieżowej, zakazuje ich czytać i kupować taką gazetę. Dla nich to nie do pomyślenia, że młoda dziewczyna czyta o tym, co chłopcom sprawia przyjemność. A dla nas to przecież normalne.



... i jak się je przelamuje

Tabu powoli znika z naszego słownika. Proces zaczyna się już w podstawówce, gdy dzieciaczki (zresztą już poniekąd uświadomione) uczą się, jak między panią i panem dochodzi do zbliżenia, plemnik dostaje się do komórki jajowej, powstaje dzidzius i co dalej. Później tę rolę przejmują media. I bardzo dobrze, bo inaczej nigdy byśmy się nie dowiedziały (li) o istnieniu prezerwatywy, o tym, że nasi koledzy też mogą brać narkotyki, że jakkolwiek dokument w urzędzie, czy operacja dobrze przeprowadzona, to co najmniej 200zł dla lekarza i stowa dla pielęgniarki. Że AIDS nie można się zarazić w szaletach miejskich, że pocałunek to nic złego, że istnieją granice naszej intymności, których nawet dorosłym nie wolno przekraczać. I że mamy prawo krzyknąć, gdy dzieje się nam coś złego. W wielu domach nigdy nie było rozmowy o miesiączce, seksie, antykoncepcji. Wszystkiego dowiedzieliśmy się w szkole lub z gazet. Czy to źle? Nie. Bo dla naszych rodziców tabu to tabu, ich granice, których nam nie wolno przekraczać.

Zdrowie też tabu

Najsmutniejsze jest to, że do worka T wrzucono sprawy ważne dla naszego zdrowia. Kobiety nie mówią o cytologii, mężczyźni o endokrynologu. Ginekolodzy i seksuolodzy to dla wielu wciąż niewyżyte seksuofoby. To tak jakby w wyniku zbiorowej hipnozy ludzie zapomnieli, że ich miejsca intymne to części organizmu, tak samo narażone na choroby i wymagające leczenia. W wielu językach świata wciąż nie ma dla nich nazewnictwa, są one obraźliwe, mają podwójne znaczenie albo brzmią jak żywcem wyciągnięte z podręcznika do medycyny. Po co zresztą tworzyć słowa, których i tak się nie użyje, myśłano. I współcześni mają problem. Chcą bowiem rozmawiać, ale dosłownie brak im słów. Bo proces usuwania tabu wciąż trwa. Od nas tylko zależy, co wygra: wiedza czy milczenie?

Paulina Szymańska

Rodzice wybrali się z niemowlakiem na zakupy. Chcieli razem wejść do jednego ze sklepów i postanowili zostawić na momentik dziecko w wózku pod sklepem. Po wyjściu mąż bierze wózek i idą z żoną dalej przez miasto. W pewnym momencie zaskoczona żona mówi do męża:

- Heniek, patrz! To nie nasze dziecko! Wracaj, zamieniliśmy je chyba pod sklepem!

Na co mąż:

- Ciii głupia, przecież widzę, ale zobacz jaki wózek bajerancki!

Rolnik pyta rolnika- jąkałę:

- Dużo masz królików?

- Trzy...trzy...trzysta...

- Nie żartuj! Aż trzysta?

- N-n-nie... Trzy sta...stare i dw-w-wa młode!

Przechodzi mrówka pod jabłonią, gdy nagle spada na nią jabłko. Po chwili wygrzebuje się spod niego:

- Niech to, w samo oko...

- Tak się uśmiełam wczoraj w teatrze na tej komedii, że wróciłam do domu półżywa...

- Powinnaś kochanie jeszcze raz obejrzyć tę sztukę...

Wchodzi student na egzamin i słyszy od profesora stojącego pod oknem :

- Chce pan jedno pytanie trudne czy dwa łatwe ?

Student po chwili namysłu odpowiada :

- Jedno trudne.

Profesor prosi go do siebie i spoglądając przez okno pyta :

- Widzi pan tamto drzewo ?

- Tak. Odpowiada student.

- Proszę mi powiedzieć, ile na tym drzewie jest liści ?

- 4584. Odpowiada student.

- A skąd pan to wie ??? -pyta zaskoczony profesor.

- Przepraszam bardzo, panie profesorze, miało być tylko jedno pytanie...

Na Uniwersytecie Moskiewskim student zdaje egzamin z biologii. Profesor pokazuje mu szkielet i pyta:

- Jaszczurka czy żaba?

Student chwilę się zastanawia i odpowiada:

- Jaszczurka.

- No dobrze. -odpowiada profesor i pokazuje zdającemu następny szkielet- A to jest żubr czy krowa?

Student zastanawia się: hmmm nie wiem, chyba to jest krowa, bo skąd oni by mieli tutaj szkielet żubra.

- Krowa- odpowiada

- No dobrze. -profesor pokazuje następny szkielet- A to jest małpa czy człowiek?

Student zastanawia się: znowu nie wiem. Chyba powiem, że to człowiek, bo jak bym powiedział, że to małpa, a okazałoby się, że to człowiek, to całkiem bym się zbłądził.

Zniecierpliwiony profesor podpowiada studentowi:

- No odpowiadaj, przecież uczyłeś się o tym przez 4 lata!

- Niemożliwe! Lenin?!

Egzamin z zoologii:

- Co to za ptak?- pyta studenta profesor wskazując na klatkę, która jest przykryta tak, że widać tylko nogi ptaka.

-Nie wiem- mówi student.

- Jak się pan nazywa?- pyta profesor.

Student podnosi nogawki.

- Niech pan profesor sam zgadnie...

Na kino

Masz tu 10 zł i idź do kina- mówi ojciec do syna w niedzielne popołudnie.

- Nie chcę!

- Dlaczego? Przecież lubisz kino!

- Tak, ale jeszcze bardziej lubię być jedynakiem...

Hrabia czyta gazetę.

- Janie, czy tramwaje jeżdżą po dachach?

- No nie panie hrabio, tramwaje jeżdżą po szynach na ziemi.

- No to dlaczego tutaj napisali, że tramwaj zabił kominiarza?

Hrabia oprowadza gości i pokazuje swoje trofea i mówi:

- To po prawej, to lew z Afryki, a to po prawej to tygrys.

Nagle jeden z gości się pyta:

- A ta pani na końcu, to kto?

- Moja teściowa.

- A czemu ona się uśmiecha?

- Bo do końca życia myślała, że jej zdjęcie robię.

Dzieci podchodzą do hrabiego spacerującego po parku i wskazując na zamek, pytają:

- Czy pan mieszka w tym zamku?

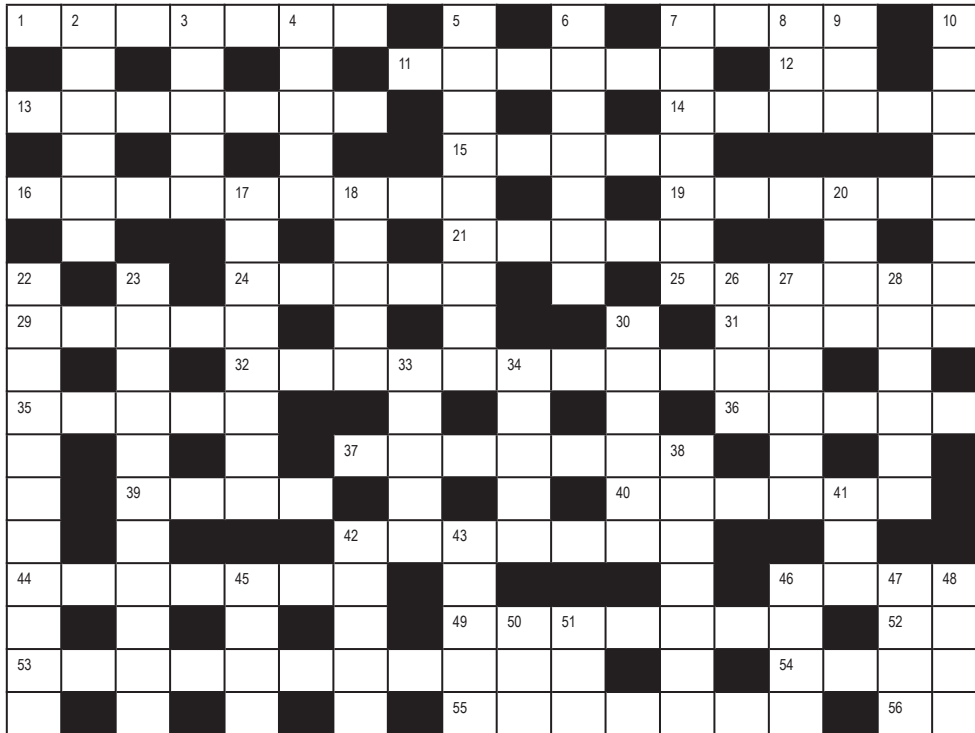
- Tak.

- A czy tam nie ma żadnego straszydła?

- Nie ma. Jestem jeszcze kawalerem.

Iza Szewczyk

KRZYŻÓWKA



POZIOMO

- 1)chłopski dom
- 7)nakrycie na łóżko
- 11) komfort
- 12)"dom" pszczół
- 13)w oku
- 14) marka auta
- 15) imię żeńskie
- 16) czapka w kształcie pierożka
- 19)niejeden na niezadbanej grządce
- 21)służący
- 25)przygnębienie, zubożenie
- 29)upał
- 31)łączy magnetowid z grecką kolumną
- 31)świadczanie na pokrycie kapitału akcyjnego w postaci niepieniężnej
- 32)płatca podatek radiowo-telewizyjny
- 35)starożytna budowla przeznaczona na występy muzyczne i teatralne
- 37)miejsce walki gladiatorów
- 39)najokrutniejsza część bitwy
- 40) imię żeńskie, zdrobniale
- 42)bodziec, podnieca
- 44)wybór króla
- 48) słodka
- 49)kobieta która się myli tylko raz
- 52)jednostka powierzchni
- 53)Minge dla Bem
- 54)niektórzy mają je obie lewe
- 55)bogini świata roślinnego i zwierzęcego (gr.)
- 56) najmocniejsza karta

PIONOWO

- 2) „wędka” na wieloryby
- 3) samica jelenia
- 4) gaszenie pragnienia
- 5)z łóżkiem
- 6)drzewka choinkowe
- 7)likwidowanie starych maszyn
- 8)knajpa
- 9) imię żeńskie, zdrobniale
- 10) człowiek oburzający się o byle co
- 17) prośba o jałmużnę
- 18) popisy w ujeżdżaniu dzikich koni
- 20)samochód
- 22)myśl dotycząca przeszłości
- 23) np. szansy
- 26)skrzynia drewniana
- 27)fotograficzny
- 33)naród
- 30)okaz
- 34)w kuźni
- 38)przestawienie liter jednego wyrazu w inny
- 41)kawał lodu
- 42) tkanki kostnej u chorego na osteoporozę
- 43) jak makiem zasiał
- 45)im większa tym większa podaż
- 46)ze Sawą
- 47)atrybut kelnera
- 48) grecki bóg wojny
- 50)ang. miara powierzchni
- 51)remis w szachach

Paweł Frankiewicz